

Dzdzisław Koziol

W DYSKUSJACH o rzeszowskim ośrodku akademickim pojawiają się nowe akcenty. Dotychczas eksponowano przede wszystkim sam fakt powstania uczelni, które uważano niejako za symbol awansu miasta i regionu. Obecnie na plan pierwszy wysuwa się oddziaływanie szkół wyższych na środowisko, ich rolę w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Wydaje się jednak, że postulat ten jest niekiedy zbyt ogólnie formułowany, uczelnie traktuje się jako

nabiera szczególnego znaczenia, zwłaszcza w uczelniach pedagogicznych.

Sporo uwagi Komitet Uczelniany Partii poświęcił młodzieży. Oceny krytyczne dotyczyły słabej integracji środowiska studenckiego, nieukierunkowania pracy kulturalno-oświatowej i innych form działalności, niechęci części studentów do angażowania się w życie polityczne środowiska. Niepokoi także pozowanie „na beznadziejność, zmęczenie cywilizacją oraz hołdowanie mieszczańskim ideałom życiowym”. Dodać jeszcze trzeba, że nie wszyscy studenci wykorzystują szansę intelektualnego rozwoju, na przy-

nia, wspomniane tytułem przykładu kłopoty wydają się śmieszne, ale jakże komplikują życie. Skoro już piszę o poważniejszych trudnościach dodam, że rektor doc. dr Antoni Woźniacki z troską mówił o zagrożeniu realizacji programu nauczania. Warunkami studiów w rzeszowskiej WSP winno zająć się Ministerstwo Oświaty. Sporo jednak spraw zależy wyłącznie od administracji WSP oraz samej młodzieży, która np. niemało zdążyła nagrzyszyć wobec niemia społecznego.

4

Komitet Uczelniany wystąpił z ciekawą koncepcją badań naukowych, którą rektor w pełni popiera, oczekując — jak stwierdził — dalszych w tym kierunku inicjatyw. Generalnie rzecz biorąc, plany WSP zmiernają do przyszłości z pomocą szkolnictwu podstawowemu i śred-

ZMIERZCH PARTYKULARYZMU?

swego rodzaju panaceum, bez uwzględnienia realnych możliwości i specyfiki szkolnictwa wyższego.

Ta rozległa problematyka zajmuje sporo miejsca w działalności uczelnianych organizacji partyjnych. Nie wnikając w szczegóły, można bez ryzyka przesady stwierdzić, że pracę tych organizacji cechuje konkretność w ujmowaniu zasadniczych spraw uczelni; stąd ich wysoki autorytet wśród pracowników naukowo-dydaktycznych i studentów, ale autorytet ten jest głównie udziałem kierowniczego aktywu partyjnego, ludzi łączących cechy naukowców i dydaktyków z walorami działaczy społecznych.

1

Przed kilku miesiącami zaproszono mnie na posiedzenie Komitetu Uczelnianego PZPR w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Omawiano wówczas zagadnienia dydaktyczno-wychowawcze, przyczyny niezadawalających wyników nauczania, postawę studiującej młodzieży. Chciałem skonfrontować opinie pracowników naukowo-dydaktycznych z poglądami studentów. Komitet Uczelniany Partii umożliwił mi spotkanie z grupą aktywistów ZSP.

Nie przypuszczałem, że aż w takim stopniu bieżące będą oceny kadry i młodzieży dotyczące spraw dydaktycznych. Z pełnym zrozumieniem traktowała ciężkie, nawet bardzo ciężkie warunki studiów wynikające z trudności lokalowych i kadrowych uczelni. Postulaty dotyczyły spraw jak najbardziej realnych.

Rozmowa zesłała na temat miejsca studentów w środowisku. Młodzież nie bez zażenowania mówiła, że jest bacznie obserwowana przez mieszkańców Rzeszowa, a za zachowanie jednostek, odium spada na wszystkich studentów. Interpelowałem swoich rozmówców w drażliwych sprawach środowiska studenckiego. Usłyszałem odpowiedzi oględne, traktujące raczej o marginesach lub ogólnikowo uważając, że młodzież studiująca jest zróżnicowana, niejednokrotnie cele przyświecały jej, kiedy podejmowała studia. Półgębkiem napomknęło o tych, których — używając dawnej terminologii — określa się mianem „złotej młodzieży”. Żywo natomiast dyskutowano o możliwościach świadczenia różnorodnych usług na rzecz środowiska, ale inicjatywy w tym zakresie warunkuje czas, którym dysponują. Przekonywająco udowodniano, że bilans czasu studenta jest bardzo napięty.

O tej grupie aktywistów ZSP odniosłem jak najlepsze wrażenie, a unikanie zajęcia stanowiska wobec szeregu zagadnień wewnętrznego życia tłumaczyłem po prostu niechęcią wtajemniczenia osób postronnych.

2

W ubiegłym tygodniu uczestniczyłem w zebraniu Podstawowej Organizacji Partyjnej w WSP. Analizy referat I sekretarza KU dr Stanisława Fryciego obejmowały szeroki wachlarz zagadnień ze szczególnym uwzględnieniem pracy dydaktyczno-wychowawczej, która — dotychczas w szkolnictwie wyższym nie doceniana —

kład frekwencja na spotkaniach autorskich, nawet z wybitnymi przedstawicielami literatury, jest zbyt mała.

Z zaciekawieniem oczekiwałem na reakcję młodzieży. Spodziewałem się ożywionej wymiany myśli. Studenci w zasadzie nie podjęli problemów wysuniętych w referacie. Może oniesmielała ich obecność pracowników naukowo-dydaktycznych? Na tę milczącą postawę dość ostro zareagował dr Stanisław Frycie, mówiąc, że przecież na co dzień studenci przychodzą do Komitetu z wieloma sprawami, które należy omówić na forum organizacji partyjnej.

Studenci wystąpili ze swymi żądaniami, lecz ich wypowiedzi w zasadzie potwierdziły oceny zawarte w referacie. Dla uniknięcia nieporozumień: bynajmniej nie pomniejszam znaczenia podejmowanych przez nich inicjatyw, jednak nie mają one charakteru masowego, a aktywnie nie przejawia większych ambicji w kierunku oddziaływania na młodzież. Wyrażony uprzednio sąd — w oparciu o spotkanie z aktywistami ZSP — muszę częściowo zrewidować; w niezintegrowanym środowisku studenckim nie ma najważniejszych sił, które by wpływały na kształtowanie postawy młodzieży.

3

Młodzież ujmuje socjalizm albo po akademicku z domieszką właściwej młodości naiwnością, albo w kategoriach fragmentów rzeczywistości, która ją otacza. A jest ona nader skomplikowana, nie mieszcząca się w jednoznacznych ocenach. Pisałem, że przed paru miesiącami aktywiści ZSP ze zrozumieniem odnosili się do trudności nowo powstałej uczelni. Na ostatnim zebraniu przeważały głosy krytyczne: dyskutanci nie rozróżniali jednak przyczyn obiektywnych od skutków zaniedbań czy opieszałości administracji uczelni.

Dla ilustracji wspomnę o żeńskim akademiku na Osiedlu 20-lecia. W wyniku awarii przewodów kanalizacyjnych, notabene w świeżo przekazanym uczelni obiekcie (!), studentki przez kilkanaście dni nie mogły korzystać z wody. Rury w nowym budynku były zamulone, lecz awarię przyspieszył brak... koszy na śmieci; studentki wrzucały je do muszli.

Administracja uczelni za późno rozpoczęła wyposażanie domu. Studentki nie dysponują tak niezbędnym sprzętem, jak szafy i stoły, nie ma na czym zawiesić zasłon, co — skarżyły się dziewczęta — umożliwia mieszkańcom sąsiednich bloków podglądanie. Bardziej ciekawi zaostrzyli się w lornetki. Zabawne? Może i tak, lecz dla dziewcząt krepujące.

Okazuje się, że władzom lokalnym łatwiej przyszło wygospodarować dla uczelni obiekty, m. in. kosztem szkolnictwa niższych szczebli, aniżeli administracji odpowiednio je wyposażać. W całokształcie trudności z jakimi boryka się uczel-

niem w rozwiązywaniu szeregu problemów. Chodzi nie tylko o do-razną pomoc, lecz badania z zakresu dydaktyki, uwzględniające potrzeby szkolnictwa regionu, zwłaszcza szkół wiodących.

Komitet Uczelniany postuluje wspólne sympozja kadry naukowej z nauczycielami szkół średnich, proponuje, aby poszczególne katedry przynajmniej raz w roku zorganizowały z odpowiednią sekcją Okręgowego Ośrodka Metodycznego konferencję teoretyczną dla omówienia węzłowych zagadnień dydaktycznych danego przedmiotu. Kontakty teoretyków i praktyków są obopólnie korzystne, co już potwierdziły wstępne doświadczenia WSP, zwłaszcza polonistów, którzy z OOM zorganizowali w ubr. konferencję teoretyczną; zaplanowano także wspólne badania w szkołach.

Propozycje dla naukowców z Wydziału Filologicznego obejmują m. in. badania nad przeszłością regionu, piśmiennictwem z nim związanym, dziejami oświaty czy wręcz badania nad kulturą materialną i duchową. Godne podkreślenia jest dążenie do połączenia wysiłków badawczych kadry WSP z pracownikami naukowymi towarzystw regionalnych i innych placówek. Naukowcy z WSP proponują dokonanie wspólnej oceny dotychczasowego stanu badań, by następnie opracować program dalszych prac.

Niemniej ambitne są zamierzenia kadry Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Technicznego, która swoje plany zamierza wiązać z potrzebami miejscowego przemysłu. Stąd wyłania się konieczność — o czym pisałem już przy innej okazji — połączenia wysiłków pokrewnych katedr obu wyższych szkół. Obecny stan nauki wymaga rezygnacji z tradycyjnych metod badawczych, opartych na wysiłku pojedynczego uczonego; pełną potrzebą staje się kompleksowe rozwiązywanie określonych zagadnień przez liczne zespoły, reprezentujące często pokrewne dyscypliny. WSP wysuwa propozycję powołania wspólnych zespołów badawczych w takich dyscyplinach, jak chemia, fizyka czy nauki techniczne.

5

Jakie są niezbędne warunki do zrealizowania szerokiego i ambitnego programu? Nie będę pisał o potrzebie dalszego rozwoju bazy naukowo-badawczej, bo to jest oczywiste. Interesują mnie natomiast, że tak się wyraża, społeczne warunki realizacji zamierzeń uczelni. Wspomnę o niektórych sprawach, może nie najważniejszych, lecz przemilczanych.

Potencjał intelektualny Rzeszowa z każdym rokiem wzrasta. Rola uczelni pod tym względem jest doniosła, lecz przed ich powstaniem w mieście rozwijało się życie umysłowe, w pewnych dziedzinach dość



FOT. ST. PRAZUCH

Władysław Włoch

Przypuszczalna strona liścia

Głęboko w uśmiechu została mucha
liść
kołujący nad zetlałym źródłem
tam trzepotała wymięta powieka
las się rozchodził
i spadał na barki
cień

grzbietem sokolim jak
zmierzch
czarnej pręgi zaprzęg pod
łopatki

borsucze sadło żywic na szpilkach
u rąk krawcowej czarna wełna lasu

odarty z ptaków
po pęknięciu burzy
piszczel dębowy

często pal ogniem wydymy
i w sęku ma dziurę liść

liść

polechtał
po zetledej stronie
stadko gąsienic wypuszcza latawca

Anna ze skarabeuszem

Ona
w hamaku co w snach wisi uczepony róży
bez końców jak początek bo tak się zaczęło
bytowanie z owadem na poduszce mroku
ona jak mały owad
owad wchodzący pod biodro

Ona
bo tak zaczęta chodzi i potęca
twarz swoją o pęknięte burze
rankiem wchodziła schodami do trumny
z cienia do ciała
w pustę po imieniu
w naczynie lęku wpuszczała owada
z dłoni mu niebo robiąc
z męki denko

Ryszard Stachnik

SUKCESY ARTYSTÓW AMATORÓW

Artyści amatorzy Rzeszowszczyzny odnieśli ostatnio sukcesy na dwóch ogólnopolskich imprezach. Ranga tych sukcesów nie jest marginalna. Festiwale zespołów chemików są pożytecznym precedensem w związkowym ruchu artystycznym i nawet trochę dziwi fakt, że dotychczas żaden ze związków branżowych nie podchwycił tej cennej inicjatywy.

Organizowany po raz trzeci festiwal piosenek może poszczycić się interesującymi efektami widocznymi zwłaszcza na przykładzie umasowania i wzrostu przeciętnego poziomu poszczególnych zespołów, wielokrotnie zresztą i z powodzeniem eksponowanych również w rozmaitych audycjach radiowych i telewizyjnych.

Jednym ze znanych także z ekranu telewizyjnego związkowych zespołów artystycznych jest kwartet wokalny ZDK Zakładów Przemysłu Gumowego z Dębicy, który w swojej kategorii na poprzednim festiwalu piosenek chemików zdobył pierwszą nagrodę, a i w tym roku odniósł duży sukces, pozwalając się zdystansować jedynie rutynowanemu i interesującemu wokalnemu zespołowi mieszanemu z chorzowskich Zakładów Azotowych. Najmocniejszą stroną dębickiego kwartetu jest reżyseria, umiejętnie eksponująca groteskowe walory tekstu i indywidualne zdolności aktorskie wykonawców. Całość (zwłaszcza interpretacje!) w zdecydowany sposób odbiega od przeciętnego poziomu amatorskiego i w każdym razie zespół ten stanowczo zasługuje na większe niż dotychczas spopularyzowanie!

Kierownik wspomnianego Zakładowego Domu Kultury z Dębicy otrzymał indywidualną nagrodę za przygotowanie zespołów do tego festiwalu, na co złożyły się jeszcze sukcesy interesujące, klasyfikujące zespołu jazzowego (trzecie

miejsce w swojej kategorii) oraz kulturalnej interpretacyjnie piosenkarki — Marii Lis, która podobnie jak i na poprzednim festiwalu zdobyła trzecie miejsce.

W III Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Zespołów Instrumentalnych Chemików, z terenu województwa rzeszowskiego brał udział jeszcze przedstawiciel Zakładów Chemicznych „Garbat” z Jasła (m. in. dynamicznie, a przy tym kulturalnie interpretujący big-beat, sympatyczny zespół „Jaślanie” oraz Leszek Olesiński lansujący na tej imprezie najambitniejszą piosenkę „Protest 68” na temat wojny w Wietnamie, a także tradycyjny męski kwartet wokalny ZDK Zakładów Tworzyw Sztucznych z Pustkowa, który podobnie jak i rok temu został wyróżniony przez jury, ale jednocześnie w plebiscycie publiczności uzyskał największą ilość głosów w kategorii zespołów wokalnych.

Jeszcze bardziej ciekawą imprezą okazał się po raz pierwszy organizowany Ogólnopolski Festiwal Zespołów Regionalnych. Z jego organizacją łączy się znacznie większe — niż tego można się było spodziewać — korzyści, gdyż jak ogólnie to podkreślano, impreza ta wniosła bezsporne wartości do dorobku naszej kultury i tym samym stała się jednym z udanych akcentów towarzyszących Kongresowi Kultury Polskiej.

Bez przesady słuchaliśmy i oglądaliśmy w Tarnowie kilka unikalnych interpretacji, uchronionych od zapomnienia melodii, przyspiewek i tańców, prezentowanych na festiwalowej scenie przez przedstawicieli czterech pokoleń; artystów amatorów, rozkochanych w urodzie ludowej sztuki swoich regionów. Jeszcze szybszym rytmem radości były serca jurorów (w jury zasiadały takie krajowe autorytety jak choreograf

prof. Jadwiga Mierzejewska z Warszawy, prof. Janina Strzembosz z Krakowa i muzykolog prof. dr Włodzimierz Pozniak z Uniwersytetu Jagiellońskiego), gdy relacjonowano nam później technikę żmudnych poszukiwań repertuarowych, w czasie których kierownicy (wśród nich również Stanisław Kasza z Pustkowa i Stanisław Ingłot z Krosna), a także i sami członkowie zespołów odwiedzają setki wsi i utrwalają (ręcznym zapisem lub na taśmach magnetofonowych) utwory dotychczas znane często już tylko pojedynczym osobom.

Bezsporna wartość wspomnianej imprezy tkwi przede wszystkim w... prowokacji; arcypożytecznej prowokacji, mobilizującej nie tylko do kontynuowania obecnych inicjatyw w tym zakresie, ale i do dalszej aktywizacji poszukiwań folklorystycznych.

Wspomniany festiwal tarnowski w kategorii kapel ludowych zakończył się bezapelacyjnym sukcesem reprezentantów Rzeszowszczyzny, gdyż dwa pierwsze miejsca ex aequo przyznano kapelom ZDK Krośnińskich Hut Szkła oraz ZDK Zakładów Tworzyw Sztucznych „Pustków” w Pustkowie, którym dodatkowo wręczono puchar przechodni dla najlepszej kapeli. W imprezie tej brała jeszcze udział kapela Huty Szkła z Jasła. Natomiast wśród trzech wyróżnionych śpiewaków ludowych znaleźli się: Stanisław Wyrzykowski z Krosna i Władysław Muszyński z Pustkowa, ale już dużego formatu rewelacją festiwalową okazał się wyróżniony nagrodą dla najlepszego solisty festiwalu Jan Szajna (członek kapeli z Krosna) — kapitałny wirtuoz na starych, mających już ponad 180 lat cymbałach.

Warto byłoby pomyśleć o większym spopularyzowaniu tego znakomitego artysty ludowego, na co dzień pełniącego wyczerpującą pracę robotnika transportu. A w ogóle to przy jakiejś sprzyjającej okazji warto pamiętać o tym, że obie nagrodzone kapela z Krosna i Pustkowa reprezentują poziom, którego nie musielibyśmy się wstydzić również i za granicą.

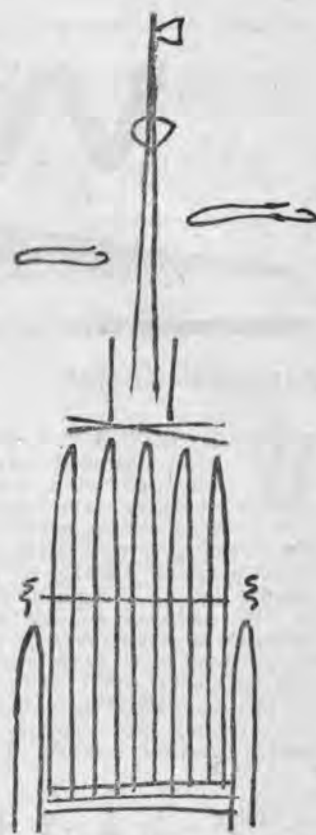
Tadeusz Kubas

GOTYK

Na wysokość stu wołów posprzęganych pionowo wystrzeliła wieża gotyku

Kondygnacja ostatnia oprawiona w rój piórek strzępi skrzydła o brzeg widnokresu

Drażą wieża gotyku z wolnej woli Człowieka strefy wielkich królestw mitycznych



Zmierzch partykularyzmu?

(Ciąg dalszy ze str. 1)
intensywne. Ośrodek akademicki, chcąc spełnić swą kulturorotwórczą rolę, dąży do integracji wysiłków miejscowych towarzystw naukowych i środowisk twórczych. Rola wniosła, lecz niełatwa. Myślę o specyfice niektórych rzeszowskich środowisk. Nie pomniejszając wielu poważnych osiągnięć, na życiu intelektualnym miasta przez lata ciążyła jednak swego rodzaju zaściankowość, chałupnicze metody pracy, i co tu ukrywać — zdarały się przypadki amatorszczyzny i dyletanctwa, bo niektórzy ludzie pozwolili na uczonych. Udoświadczając wielu poważnych osiągnięć, niejedną publikację, których poziom był niski.

Słowa zaś „amatorszczyzna” użyłem nie tylko w ujemnym znaczeniu; dzięki niejednemu amatorowi, a raczej miłośnikowi nauki, zachowano wiele cennych pamiątek, powstały zbiory, przetrwały dokumenty o przeszłości itp. A jeśli nawet ich opracowania pozostawiały

pod względem metodologicznym sporo do życzenia, to i tak zrobili dla kultury regionu dużo. Słowem, są to sprawy skomplikowane, dodatkowo jeszcze zagmatwane brakiem wewnętrznej spójności niektórych grup inteligentnych, nie mówiąc już o skłóceniu, które przemownie rzutowało na efekty działalności pewnych środowisk i instytucji.

Nie będę precyzował tych zarzutów, wolałbym w ogóle o tym nie wspominać, ale liczne przykłady wzbudzają niepokój... Integracja wysiłku całej inteligencji rzeszowskiej nie będzie zadaniem łatwym, chociaż szereg poczynań napawa także optymizmem. Powstanie i umocnienie rzeszowskiego ośrodka akademickiego stworzyło dużą szansę dla wielu, których talent i umiejętności nie mogły być uprzednio w pełni wykorzystane. Ci ludzie stanowią jak gdyby pomost łączący przeszłość z teraźniejszością.

ZDZISŁAW KOZIOL

Nowy etap działalności

Ostatnio odbyło się w Rzeszowie walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki z udziałem delegacji regionalnych towarzystw naukowych z terenu województwa m. in. z Przemysła i Gorlic oraz dużej ilości nauczycieli. W części naukowej posiedzenia dr Stefan Reczek wygłosił odczyt pt. „Demitywy i ich funkcja stylistyczna w języku polskim”. Później dokonano oceny działalności Towarzystwa za okres ubiegłych dwóch lat i wyboru nowych władz.

Jak wynikało ze sprawozdania ustępującego zarządu, praca koncentrowała się w tym czasie przede wszystkim wokół spraw jubileuszu XX-lecia Polski Ludowej na Rzeszowszczyźnie. Owocem tych zainteresowań były dwie obszernie publikacje — jubileuszowy tom „Rocznika Rzeszowskiego” i wydawnictwo „Rzeszów w XX-leciu”, które stanowią będąc cenne dokumenty naszych osiągnięć dla przyszłych historyków. Rozpoczęto również wydawanie stałego periodyku o ambicjach odzwierciedlania życia naukowego, kulturalnego i literackiego naszego regionu pt. „Kwartalnik Rzeszowski”. Dwa zeszyty, które dotąd się ukazały, dobrze świadczą o powodzeniu tej inicjatywy. W druku znajduje się obecnie „Księga pamiątkowa z okazji X-lecia istnienia oddziału Tow. Literackiego im. Adama Mickiewicza w Rzeszowie” zawierająca duży zestaw prac naukowych i popularno - naukowych związanych z kulturą Rzeszowszczyzny. Nowy numer „Kwartalnika Rzeszowskiego” i pracę „Wesele łąckie” TPNiS przygotowuje do wydania. Oprócz działalności wydawniczej Towarzystwo prowadziło w okresie sprawozdawczym ożywioną akcję odczytową.

W dyskusji przedłożono zebrany projekt zmian statutowych Towarzystwa. Zmierzają one do większej integracji badań naukowych i ściślejszego zespolenia środowisk twórczych. Przewiduje się m. in. zmianę nazwy z Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki na Rzeszowskie Towarzystwo Naukowe. Dla usprawnienia działalności wydawniczej i pracy naukowej,

nowy statut przewiduje zorganizowanie trzech wydziałów — humanistycznego, matematyczno-przyrodniczego i technicznego. Za sprawy wydawnicze będzie odpowiedzialny redaktor naukowy każdego działu. Zakłada się, iż każdy dział wyda w ciągu roku jedną publikację książkową. „Rocznik Rzeszowski” i „Kwartalnik Rzeszowski” będą się ukazywać tak jak dotąd i nie będą związane z tą strukturą organizacyjną. Praca Towarzystwa nadal będzie szła w dwu kierunkach: badań naukowych i upowszechnienia wiedzy.

Zebrań wysoko ocenili dotychczasowe osiągnięcia TPNiS i udzieliłi absolutorium dotychczasowemu zarządowi. W imieniu władz — tow. Eugeniusz Kościelny zastępca kierownika Wydziału Propagandy KW PZPR i tow. Józef Kanik zastępca kier. Wydziału Kultury Prez. WRN złożyli podziękowania za trud i ofiarną pracę dla rozwoju towarzystwa jego dotychczasowym władzom na ręce mgr. Władysława Kunisza. Następnie wybrano nowy zarząd w składzie następującym: prezes — prof. dr inż. Jan Woźniacki, wiceprezesi: — dr Stefan Reczek i dr Fanciszek Błoński, sekretarz — mgr Adam Rauch, skarbnik — mgr Tadeusz Miś, członkowie zarządu: Wanda Aksami, Marian Aleksiewicz, mgr Zbigniew Dydek, dr Stanisław Frycie, mgr Roman Kamieniecki i Julian Trojanowski.

Nowemu zarządowi życzymy powodzenia w ambitnych planach dalszego rozwoju Towarzystwa. Mamy nadzieję, iż duże zmiany organizacyjne i personalne nie spowodują osłabienia aktywności twórców i zasłużonych dla TPNiS dotychczasowych działaczy będących od lat pionierami regionalnych badań naukowych w Rzeszowie. Takiej ewentualności należałoby usilnie przeciwdziałać i nie dopuścić do możliwej dezintegracji środowiska naukowego.

J. G.

Maria Cecylia Guziołek

Niedawno rozmawialiśmy o najrozmaitszych kolekcjonerach. Okazuje się, że każdy ma najmniej jednego konika. Czegoż to ludzie nie zbierają! Rekord ekscytryzmu względnie zdobył zbieracz bibulek chroniących owoce cytrusowe. Był bardzo dumny, że jego kolekcja ma już 47 „unikalnych” papierków.

Najpopularniejsi są jednak filatelisci, lecz może właśnie z ich mnogości wypływa coraz bardziej wyrafinowany sposób kolekcjonowania. Podobno najmłodniejsze zbiory znaczków mają być obecnie te, ze swoistą dokumentacją. Jak wiecie niesie sności z krajów „pieczonych gołąbków” zbierają np. znaczki z reprodukcjami dzieł sztuki. I tak np. jeżeli na znaczku jest reprodukcja martwej natury ze skrzyp-

Na tropach ludzi ciekawych

ZBIERACZE

kami Raoula Dufy, należy prócz znaczka mieć reprodukcję tego obrazu z datownikiem z muzeum, w którym się obraz znajduje, a najcenniejsze byłoby posiadanie oryginalnego dzieła. Idealem natomiast „dokumentacji” znaczka byłoby posiadanie owych skrzypiec z obrazu i partytury na tymże oleju utrwalonej.

To dopiero nazywa się kolekcją! Pomyślałam, jak prosto można by u nas uzupełnić jedną z najpiękniejszych serii znaczków polskich pod nazwą „Powyzy łańcuckie”. Dokumentacja do tej serii już jest

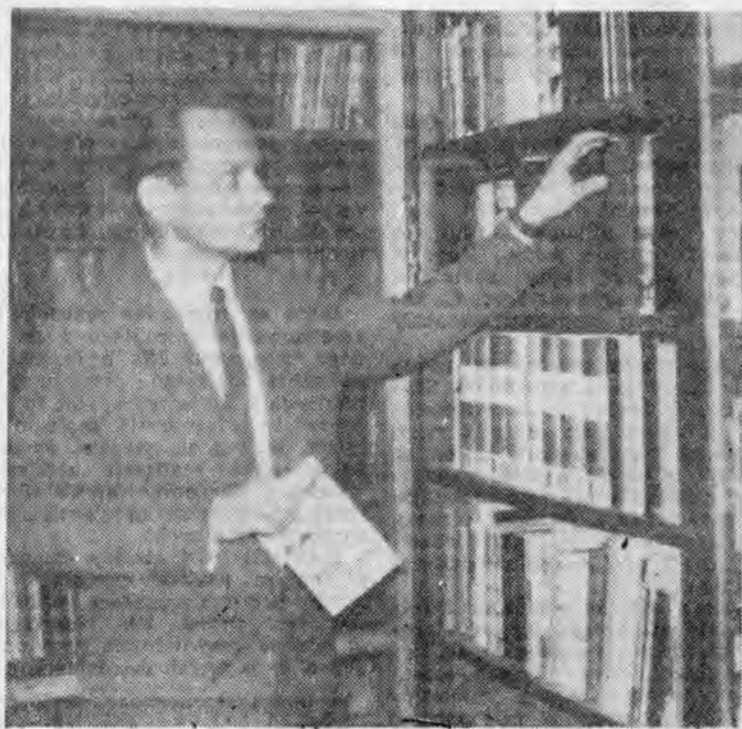
niemała: zestaw znaczków, komplet pocztówek z niektórymi powozami, pieczątką powozowni w Łańcucie, koperty ze specjalnymi rysunkami i datownikiem z okazji pierwszego dnia obiegu. Cóż, do pełnego szczęścia kolekcjonera - ekscytryka brak tylko prawdziwego powozu.

Uparty filatelista mógłby co prawda zrobić miniaturowe powozy utrwalone na znaczkach, ale komu by się chciało... Wśród zbieraczy niezliczni są ci, którzy dokładają własną inwencję, pracę i czas. Bo pieniędzy jakoś tam jeszcze większość znajduje!

Znałam również zbieracza krązków pod kufle piwa. Miał ich bodaj sto kilkanaście. Najcenniejsza była podkładka „zdobyta” w restauracji Watykanu, w czasie światowej wystawy w Brukseli „Expo 58” z pięknym napisem „Civitas Dei” (Państwo Boże). Podobno najgorsze piwo na podstawie produkcji Państwa Bożego smakowało znakomicie.

W zasadzie zbiera się wszystko, lecz na pytanie po co — odpowiedź zależy niełatwo. Jednego z najciekawszych kolekcjonerów spotkałam niedawno. Jest to zbieracz — unikat i zarazem kolekcjoner — ideał. Ryszard Ziemia — o nim mowa — zbiera książki. Można rzec, po prostu bibliofil. I tak i nie. Trochę cierpliwości.

Biblioteka pana Ryszarda zawiera już daleko ponad 2 tysiące tomów. W szafach, na regałach za szkłem pyszną się grzbiety książek matowym połyskiem skóry, złocen lub barwnych napisów i oryginalnych zdobień. Księgozbiór jest potrójnie talogowany. Pierwszy zawiera spis książek, ale to nie zwykły spis, w którym wyszczególniono liczbę porządkową, nazwisko autora i tytuł dzieła. Kiedyś dla badaczy naszych czasów będzie ciekawym przyczynkiem poznawczym. W dalszych rubrykach nasz bibliofil u-



Fot. M. KOPEC

DYSKUSJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● POLEMIKI

Kilka tygodni temu, a dokładnie 2 października, „Życie Literackie” wydukało ciekawe, ale i dyskusyjne rozważanie Józefa Lipca, zatytułowane „Zaduma nad studentem”. Stwierdzenie, najbardziej chyba problematyczne z artykułu, zacytował w swym przemówieniu na inauguracji roku akademickiego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, przedstawiciel młodzieży studenckiej. Z kolei posłużyło ono jako punkt wyjścia dla wywodów Stanisława Gębala — „Potrzeba społecznej kontroli”, które ukazały się w 41 numerze „Widnokregu”.

Stwierdzenie to brzmi: „Student znika na 5 lat z pola społecznej kontroli. Ostatnią opinię wystawiła mu szkoła średnia, następną otrzyma od personalnego w zakładzie pracy”.

Gębala przyjął za pewnik, że tak jest w istocie, a następnie, zaniepokojony społecznym rezonansem tego zjawiska, próbował określić jego genezę, istotę i skutki. Wysunął przy tym trzy tezy. Po pierwsze, brak społecznej kontroli nad młodzieżą studencką wywodzi się z hermetycznej izolacji środowiska akademickiego. Po drugie, izolacja ta, wytworzona „od wewnątrz” przez samą młodzież i przy milczącej zgodzie społeczeństwa, stanowi dla studentów rodzaj azylu chroniącego ich przed podejmowaniem podstawowych obowiązków obywatelskich i jednocześnie stawia pod znakiem zapytania społeczną przydatność absolwentów. Po trzecie, chiński mur, oddzielający środowisko studenckie od otoczenia, należy obalić i dążyć do zacieśnienia wzajemnych więzi.

Niebezpieczeństwem dodatkowym istniejącego status quo — dodaje autor — jest fakt, że studia, to obecnie nie tylko cel i marzenia młodzieży pragnącej się uczyć, ale również atrakcyjny model życia, pociągający właśnie z racji możliwości owego wymknięcia się „wyobcowania” z otaczającej rzeczywistości społecznej. Młodzież, urzeczona powabem tego azylu, wybiera niejednokrotnie kierunek studiów na zasadzie przypadku, aby się tylko do upragnionego raję dostać, nie mówiąc już o tym, że stanowiąc przekładką po ponad urok obowiązkowej służby wojskowej.

Tyle artykuł Gębala. A teraz ważniejsze od początku, tzn. od wyjaśnienia, co właściwie oznacza pojęcie społecznej kontroli, a raczej, co przez nie rozumieją autorzy o-

bydwu artykułów. Niestety, ten efektowny frazes pozbawiony został jakiegokolwiek komentarza. Jego pozorna „oczywistość” uwolniła widocznie autorów od obowiązku ogólnego bodaj zdefiniowania pojęcia, które, w przypadku wypowiedzi Gębala, stanowi przeciwieństwo kamień węgielny jego rozumowania oraz zasadniczą przesłankę do dalszych rozważań i wniosków. Amorficzność i mgławicowość tytułowego zwrotu utrudnia więc w istotny sposób odpowiedź na pytanie dotyczące jego znaczenia i sensu. Odpowiedź tę można jedynie sobie wydedukować.

Otóż obaj publicyści zgadzają się,

SPOŁECZNA KONTROLA CZY INTEGRACJA

że kontrola społeczna ujawnia się przy wydawaniu absolwentowi licencjum świadectwa dojrzałości oraz absolwentowi uczelni opinii ze strony personalnego w zakładzie pracy. Jest więc ona jakby wynikiem sui generis oceną, wynikającą z sumiennej obserwacji wartości i społecznej przydatności jednostki. Tak w pierwszym, jak i w drugim przypadku, przedstawicielami jej, a zarazem wyrażicielami są określone instytucje państwowe lub ściślej mówiąc, ich kierownictwo. Da się stąd wyprowadzić wniosek, że na terenie zarówno szkoły, jak i zakładu pracy kontrola społeczna istnieje, jest zjawiskiem sprawdzalnym i wymiernym. Znika jednak, według Gębala, w tajemniczych zgłola okolicznościach i z niewyjaśnionych przyczyn, na terenie uczelni, co dziwniejsze, przy cichej, milczącej zgodzie społeczeństwa. Dlaczego tak się dzieje, kto i kiedy stwierdził ten fakt — na te pytania Lipiec i Gębala nie odpowiadają.

A przecież, po przyjęciu na studia, młody człowiek dostaje się pod kuratelę licznych i nie byle jakich opiekunów. Obserwują go i oceniają władze uczelni z rektorem i dziekanami na czele, rozliczając go z rezultatów pracy profesorowie i

asystenci, wciągają do działalności społecznej organizacja partyjna i organizacje młodzieżowe, czuwa nad jego postępowaniem administracja Domów Studenckich i całe środowisko akademickie. Kontrolowany więc jest stosunek studenta do otoczenia i do nauki, kształtowana postawa polityczna i światopoglądowa, oceniane zdolności i przydatność do obranego zawodu.

Czyż trzeba więcej przykładów dla udowodnienia, że zjawisko umknienia młodzieży z pola społecznej kontroli, z chwilą wejścia w środowisko studenckie, istnieje jedynie w fantazji obydwu publicystów? Konia z rzędem temu, kto

bezpośredniego udziału w procesie budowania otaczającej go rzeczywistości, w tej formie co murarz, sprzedawca, urzędnik, nauczyciel czy rolnik. To nie stanowi chyba argumentu o jego rzekomym umknieniu z pola społecznej obserwacji. Przeciwnie, przynależność do środowiska studenckiego implikuje wzmoczoną kontrolę i dokładniejszą niż zazwyczaj ocenę społeczną.

W świetle tych faktów, twierdzenie o braku społecznej kontroli nad młodzieżą akademicką jest wyraźnym nieporozumieniem, deformującym faktyczny stan rzeczy. Można, co najwyżej, dyskusować

Można oczywiście znaleźć w społeczności studenckiej grupki i koterie (gdzie ich nie ma), które poszukują przede wszystkim mocnych wrażeń, snobują się na cyników i lansują ekstrawagancki tryb życia, traktując studia jako bezpieczną i wygodną przystań życiową. Po pierwsze jednak, stanowią one, jak przyznaje Gębala, margines środowisk akademickich, po drugie, wykuszają się dość szybko w trakcie naturalnej selekcji, jaką stanowią kolokwia i egzaminy, po trzecie wreszcie — to nie one stanowią magnes przyciągający młodzież na studia; nie jest też nim propagowany przez nie model życia.

Gębala twierdzi, że absolwenci szkół średnich pchają się na uczelnie, jak śmy do płomienia, a urzeczony owym wymagowanym miarą społecznego azylu, wybór kierunku studiów pozostawiają przypadkowi. Pamiętając, jak problematyczna jest sprawdzalność sądów w sferze intencjonalnej, śmiał jednak oponować. Masowy napływ młodzieży na studia wyższe wynika przede wszystkim ze zrozumienia przez nią faktu, że są one niezbędne do awansu społecznego w obecnych warunkach, czego przykład widzi ona choćby wśród starszego pokolenia, jakże często studiującego zaocznie. Ponieważ zaś przyjęcie na studia urasta dziś do rangi problemu, młodzież wybiera rzeczywistość czasem ten kierunek, na który jest najmniej kandydatów. Nie należy się temu zjawisku specjalnie dziwić ani nim gorszyć. W wieku 18 — 19 lat, nie zawsze można trafnie ustalić swe prawdziwe powołanie i ocenić wrodzone zdolności. Często ze szkolnego poety wyrasta tegi matematyk, a z kandydata na lekarza, dobry polonista. Przypadkowość więc tego rodzaju wyboru nie jest groźna ze względu na ewentualne konsekwencje społeczne, nie zawsze też stanowi wyraz lekkomyślności czy oportunistów, wynika bowiem pośrednio z naturalnego i zdrowego odruchu, z chęci zajęcia zaszczytnego miejsca w hierarchii społecznej.

I wreszcie sprawa ostatnia. Skąd się bierze pejoratywna, często złośliwa opinia ludzi z zewnątrz o środowisku studenckim. Myślę, że trafna odpowiedź na to pytanie daje cytowany już artykuł Józefa Lipca. Otóż pisze on, że „nieśluszenie studenta definiuje się poprzez te wszystkie jego cechy, które nie są studium. Są więc spędzaniem wolnego czasu, jego zapelnianiem lub wykorzystaniem”. I dodaje: „Pojęcie student” zbyt często i dosłownie grawituje wokół Zaszczurów i innych klubów tańcujących; wokół teatrzyku piosenek... Nie albo prawie nie, albo zbyt mało mówi się o studencie, jako o s t u d e n c i e, czyli istocie studiującej”.

Wynika z tego, że o opinii otoczenia decydują często pozory, kształtują ją nieraz obserwacja zjawisk drugorzędnych i wtórnych w życiu środowiska studenckiego oraz zbyt pochopne sudekowanie pracy i trudów poniesionych przez młodzież w procesie zdobywania wiedzy. A przecież ten właśnie moment jest sensem i jednocześnie celem istnienia studenta, jako zjawiska społecznego.

Kto ponosi winę za taki stan rzeczy. Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna i złożona. Nie sposób jej też sformułować w ramach niniejszego artykułu. Może natomiast i powinna stać się tematem innych wypowiedzi. Osobiście sądzę, że wina leży po jednej i po drugiej stronie. Student nie potrafią często wyjść na zewnątrz z prezentacją swego dorobku i dają sobie wystawiać wizytówki przez pieczętniki oraz przypadkowych przedstawicieli swego środowiska, społeczeństwo zaś zapomina niekiedy, że studia to przede wszystkim zdobywanie przez młodzież, w drodze żmudnych wysiłków, swego przyszłego zawodu, a nie, demonstrowanie zresztą niejednokrotnie na zasadzie młodzieńczej przekory, cyniczny grymas, ekstrawaganckie zachowanie oraz „wzrok dziki i suknia pluwana”.

Należy więc oczywiście dążyć do lepszego i pełniejszego poznania się nawzajem, do ściślejszych kontaktów i związków. Postulat ten jednak nie odnosi się tylko do środowiska studenckiego, nie wynika też z potrzeby społecznej kontroli tego środowiska (te, młodzież akademicka ma zapewnioną i spotkania, spółdzielnie studenckie przyjmują zlecenia właśnie od ludzi z zewnątrz.

Wskazuje grupę społeczną będącą bardziej na cenzurowanym niż młodzież akademicka.

I o ile nawet część młodzieży, stanowiąca zresztą margines według oceny Gębala, urzeczona fałszywą legendą i zewnętrzną malowniczością egzystencji studenckiej, żywi nadzieję na stódkie, bez troski bytowanie podczas studiów, wolne od społecznej obserwacji oceny, traci ją rychło, po bliższym zetknięciu się z poważnymi i wielorakimi obowiązkami oczekującymi każdego członka społeczności studenckiej. Studia bowiem, to przede wszystkim trudne i ciężkie lata terminowania, a nie wygodny model życia czy społeczny azyl.

Gębala pisze: „Nie można powiedzieć społeczeństwu: No to ciesz się, na razie przyskam. Zobaczymy się za pięć (sześć) lat”. Istotnie nie można, ponieważ jest to po prostu niemożliwe. Przez okres studiów student nie przebywa przecież na bliżej nieokreślonej wyspie Utopii, ale żyje i kontaktuje się na co dzień ze społeczeństwem, mniej lub bardziej aktywnie współuczestniczy w jego życiu, lepiej lub gorzej wypełnia swe obywatelskie obowiązki ucząc się i pracując. A tego właśnie wymaga się od niego. Trudne się przecież dziwić, że nie bierze

nad skutecznością prowadzonej pracy wychowawczej, nad anomalią obyczajowymi, jakie niestety występują jeszcze w tym środowisku, nad zbyt powolnym ewoluowaniem postaw światopoglądowych w kierunku laickiego sposobu myślenia. Proponować można także ściślejszy niż dotychczas związek młodzieży z miastem i województwem, w którym studiuje, pamiętając wszakże, iż jej zasadniczym obowiązkiem obywatelskim jest intensywne i twórcze zdobywanie wiedzy.

Postulowanie jednak jakiejś bliżej nieokreślonej infiltracji ze strony otoczenia w wewnętrzne życie środowiska studenckiego, koniecznej rzekomo dla zlikwidowania jego hermetycznej izolacji i umożliwienia w ten sposób społecznej kontroli, jest zupełnie bezpodstawne. Otoczenie nie może przecież rościć sobie pretensji do innych form kontroli niż tych, które wynikają z naturalnego układu stosunków społecznych. Opinia społeczna powinna reagować na przejawy życia i działalności młodzieży akademickiej (co zresztą robi), ale nie jest bynajmniej powołana do sprawowania nad nią bezpośredniego nadzoru, a tym bardziej do kwestionowania profesjonalnej odmienności środowiska studenckiego.

Warto przy tym przypomnieć, że samo pojęcie opinii społecznej jest bardzo ogólnikowe i przez to mało przydatne w rozważaniach o charakterze socjologicznym. Ocena bowiem tego samego zjawiska (w tym przypadku studentów) inaczej kształtuje się w świadomości działacza partyjnego, a inaczej w świadomości księdza, inaczej w środowisku robotniczym, a jeszcze inaczej w umysłowości filistra.

Poza tym, każda przecież grupa społeczna, co przyznaje również Gębala, posiada swoją zawodową specyfikę, wytwarza określony styl życia i postawę wobec otoczenia, operuje właściwym tylko sobie slangiem językowym. Wystarczy choćby sięgnąć do przykładu środowisk malarzy i plastyków, aktorów, muzyków czy literatów. Każde z nich jest w pewien sposób wyizolowane, niechętnie widzi intruzów z zewnątrz, prezentuje różnie stopnie wtajemniczenia i manifestuje często swoją odrębność i wyjątkowość. Nie znaczy to jednak wcale, że działalność tych środowisk oraz ich społeczna przydatność umyka z pola publicznej obserwacji i oceny. Przeciwnie, im bardziej jakaś grupa społeczna jest „egzotyczna”, tym uważniejsza kontrola, tym surowsze kryterium przy ustalaniu jej wartości i potrzeby. Podobnie ma się rzecz ze środowiskiem studenckim, z tym wszelako zastrzeżeniem, że rezonans społeczny sprawowanej nad nim kurateli jest szczególnie szeroki.

Problem „hermetyczności” i „izolacji” ośrodków akademickich został poza tym sztucznie wyolbrzymiony przez Gębala. Ani student nie wyobcowują się ze społeczeństwa, ani społeczeństwo nie izoluje ich od siebie. Artystyczne zespoły studenckie świadczą przecież często usługi na rzecz ludności, ekipy młodzieży akademickiej pomagają rolnikom w żniwach i przy wykopkach, kluby zapraszają zarówno robotników, jak inteligencję na wieczory dyskusyjne i spotkania, spółdzielnie studenckie przyjmują zlecenia właśnie od ludzi z zewnątrz.

trwała rok wydania, nazwy wydawnictwa, datę zakupu i cenę (H). Hej, i za się w oku kręci, gdy się analizuje te pozornie mało ważne dane.

Następny katalog jest indeksem autorów, a trzeci — tematyczny podstawowych działów zainteresowań właściciela zbiorów, który zawodowo pracuje jako kierownik katedry Przedsiębiorstwa Geodezyjnego w Rzeszowie. Główne działy, to historia sztuki, literatura o drugiej wojnie światowej i zbrodniach hitlerowskich, biografie wielkich ludzi, przyroda, religioznawstwo i historia druku książki i oprawy. Naturalnie w szafach znalazło się też miejsce na pozycje i literaturę piękną, słowniki i wydawnictwa encyklopedyczne. Ale ten księgozbiór od wielu innych wyróżnia nie tylko systematyczna i widoczna dbałość o książki. Patrząc na oprawy, oczy się radują, a w sercu nawet o gołębiej łagodności odzywa się tak ludzkie uczucie, jak... zardzość. „To nie jest biblioteka — to skład uczuć i myśli”, przypomniał mi się cytat z „Gawędy” Iwaszkiewicza.

Dziś 33-letni Ryszard Ziemia zakochał się w książkach, gdy o polską książkę było ogromnie trudno; w czasie wojny. Zapewne ówczesna niemożność posiadania książek utrwalała przywiązanie do nich i rzadki, a tak cenny petyzm dla drukowanego słowa. W czasie zajęć praktycznych poznał zasady oprawy książek. Oprawa przecież przedłuża życie książki. W wolnych chwilach zaczął tak dla zabicia czasu je oprawiać. Zapewne wówczas nie przewidział, że to niewinne zajęcie wkrótce przekształci się w pasję, która przez wiele lat kraść mu będzie popołudnia, niedziele, a nawet urlopy. Każda cenniejsza książka stawała się w czasie czytania inspiratorem „nowej dla siebie szaty”. Pan Ryszard ulepszał technikę oprawy, rozczystując się w literaturze fachowej. Kształcił smak artystyczny i w jego „warsztacie” intronigatorskim, obliczonym na prywatną, własny tylko użytk, rodzą się oprawy — cacka, budzące zachwyt i uznanie na pomysłowości i istic benedyktyńskiej ciepłowości mistrza Rzeszowiec mieli okazję po-

dziwiać część opraw na wystawie zorganizowanej w 1964 roku przez Muzeum Okręgowe, a obecnie zbiór książek w nowoczesnych oprawach gości w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie również wzbudził zainteresowanie przedstawicieli miejscowego świata nauki i sztuki.

Mnogość techniki i forma zdumiewa. Są to książki oprawne w skórę różnego gatunku i koloru, tłoczone złotem lub zdobione barwną mozaiką ze skrawków skór. Inne znów mają skórę wypalaną różnymi technikami. Przykładem cierpliwości może być chociażby wypalony w białej skórze autoportret Leonarda da Vinci, czy portret Marii Stuart na okładce książki Stefana Zweiga pod tym samym tytułem. Nie ma bodaj materiału, którego nie wykorzystuje ten artysta — intronigatorko do swych opraw.

Oprawy to nie tylko okładka, ale upiększenie brzegów kart, grzbiotów książek i wykrojki wewnętrznych stron okładek. Bogactwo tego zdobnictwa jest ogromne. Wyklejki, pergaminu itd. artysta przygotowuje sam. Niejednokrotnie różnego rodzaju czcionki, sztańce, szabloni musi również wykonać i robi to dopóki oprawa nie przybierze wybranego kształtu i nie nabędzie prawdziwej urody. Przytaczająca większość zbioru ma tak unikalne oprawy, że każdej z nich można by poświęcić osobną recenzję i byłoby o czym pisać.

Na początku wspominałem, że formy kolekcjonowania zmieniają się. Ryszard Ziemia zdobył niebagatelne kwalifikacje artysty — intronigatorka służąc własnym zainteresowaniom bibliofilskim. Ale intronigatorko wyzwoiliło nowe hobby związane z książką. Od dłuższego czasu pracuje nasz bibliofil nad cyklem opraw, w którym odzwierciedla historię książki i jej oprawy od czasów najdawniejszych do dziś. Istnieje już: książka z okresu babilońskiego pisaną na tabliczkach z wypalanej gliny, chińska — z kory, zdobna kością słoniową, egipska z pergaminu itp. Zachwyca oprawa klejnotowa, cała z kutej blachy i z inkrustacjami, perska — w stylu kopertowym, cała inkrustowana skórą i przypomina dywan perski.

Ośrodkowiczu przypomina książka sakrowa z białej skóry i metalowymi okuciami itp. Cykl nie jest jeszcze zamknięty.

Łatwo się mówi „odtworzyć” dzieło książki i jej oprawy. Gdy potrzeba dokładnych danych, okazuje się, iż materiały na ten temat są nader skromne. Ale i tu bibliofil dał sobie radę, nawiązując kontakty z naukowcami i ośrodkami uniwersyteckimi, które chętnie służą mu pomocą. Teczki korespondencyjne pęcznią od listów z dyskusjami na temat konserwacji starodruków i form opraw. Przybywa ogniw do cyklu historycznego.

Drogi różnych zbiorów i hobbyistów są różne. Skąd się wziął taki unikat, skąd tyle konsekwencji? Odpowiedź znów podsunął mi Iwaszkiewicz we wspomnianej już „Gawędzie”:

„... Książka nim zniknie z powierzchni ziemi — jak to przepowiedział mój przyjaciel, zanim zniknie jej potrzeba w „nowym wspaniałym świecie” — zawsze ma jednakowe przeznaczenie i jednakowe działanie. Jej losem jest pomnażanie świadomości czytelnika, rozszerzanie jego horyzontów, rozszerzanie zasięgu jego poznania życiowego czy artystycznego. Władanie go w ten czy inny sposób z życiem”.



Fot. R. ZIEMBA

Adam Potasz

Wnuk Pawła Fołty z Gaci, w powiecie przeworskim, liczy sobie... 64 lata. Jest pełen siły i zdrowia. Z dobrymi wynikami prowadzi gospodarstwo i wiele czasu poświęca pracy społecznej. Sprawuje bowiem funkcję prezesa Rady Nadzorczej w Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej. Kasa, to jakby jego drugi dom. Żywa i interesująca jest jej sprawa i czuwa nad prawidłową działalnością. Uczciwy i rzetelny cieszy się ogólnym zaufaniem ludzi. Reprezentuje jednak jeszcze coś więcej. Mianowicie jest żywą kroniką historii kasy, nosicielem pięknej tradycji oszczędnościowej, skarbnicą ciekawych wspomnień, przekazanych przez dziadka i ojca.

Dziadek — P. Fołta — należący w Gaci do grona świątecznych i postępowych chłopów, wczesnie rozpoczyna swoją pracę społeczną. Galicja bowiem po upadku powstania styczniowego, mimo uzyskania autonomii, jest nadal najbardziej zacofaną ekonomicznie dziel-

nicą Polski. Obszarnictwo hamuje wszelki postęp. Chłopi zdają sobie sprawę, że za modlitwą pleban nie da ani też pożyczki worka zboża. Ofiarowana przez obszarnika kromka chleba nie starczy dla kilkorga dzieci. Kto chce przetrwać musi zapożyczyć się u karczmarza, dać się złapać w sidła lichwy. Za każdy pożyczony grosz trzeba płacić grosz procentu. Nikt nie zna litości. A że chłop nie bardzo umie liczyć i przy tym lubi czasem wypić kielich okowity, szybko rosną dług i procenty, które w końcu spłacone muszą być ziemią. Karczmarz bogaci się, a chłop idzie z torbami. W Gaci m. in. cały grunt Jana Szleka zabiera karczmarz. Mnóżą się wędrowni za chlebem. Jedni zdobywają paszporty na wyjazd do Ameryki, a drudzy powiększają armię bezrobotnych.

OD RENSKICH DO ZŁOTÓWEK W SOP

W tych warunkach szybko rozwija się ruch ludowy w Galicji. Jednym z jego ośrodków staje się Gac. Miejscowi chłopci potrafili nie tylko mówić o nowej idei, lecz przede wszystkim wcielić ją w życie. Rozumieją, że obronić się przed wyzyskiem i lichwą potrafią tylko sami. I oto z ich inicjatywy powstaje w 1868 r. Kasa Zbożowa, która za niskim oprocentowaniem wypożycza najbardziej potrzebującym chłopom na przedwiośnie zboże. Placówka cieszy się wielkim powodzeniem, zdobywa sobie coraz więcej zwolenników. Ludzie zamiast od karczmarza pożyczkę, biorą z kasy zboże. Forma takiej pomocy zdaje w pełni egzamin, lecz już wkrótce okazuje się niewystarczająca.

W roku 1876 Kasa Zbożowa przekształcona zostaje w Gminną Kasę Pożyczkową. Placówka nie ma jeszcze własnego statutu, lecz prowadzi, za zgodą władz austriackich, działalność przy gminnym urzędzie. Pierwszym prezesem kasy wybrano gospodarza Wojciecha Brozbara, a kasjerem Jana Tonie. Kasa nie pożyczka już zboża, lecz pieniądze. Posługują się też oryginalnymi książeczkami dłużniczymi, które wydrukowane zostają w drukarni Pelera w Rzeszowie. Pierwszy nakład wynosi 200 sztuk. Wnuk Franciszek pokazuje świetnie zachowaną książeczkę swojego dziadka. Ma numer 123. Na tytułowej kartce pięknie, kaligraficznie wypisane jest nazwisko i imię dłużnika, który 13 grudnia 1882 roku pożyczyciel 100 złotych reńskich i zwrócić ma w pięciu ratach rocznych przy dziesięcioprocentowych odsetkach. U dołu widnieje drukowany napis: „Każdy dłużnik niniejszą książeczkę obowiązany jest starannie chować, a przy każdym doniesieniu raty długu lub procentu do Kasy Pożyczkowej dla pokwitowania takową ze-

sobą przynieść”. Na wewnętrznej zaś stronie pierwszej karty wypisane są terminy spłaty poszczególnych rat, a po drugiej, zwroty i podpisy dłużnika.

— Co można było kupić za jedną ratę wynoszącą 20 reńskich? — Bardzo dobrą krowę — odpowiada Franciszek Fołta. Tego rodzaju pożyczki stanowiły wielką pomoc dla chłopów. Pozwalały im przetrwać różne kryzysy i nieszczęścia w gospodarstwie. Ale najważniejsze, że kasa umożliwiała rozwijanie cennych inicjatyw społecznych. Przecież realizacja głoszonych hasel przemian gospodarczych i oświatowych na wsi wymagała pieniędzy.

Jedną z pierwszych kas tego typu w Małopolsce systematycznie rozwija i doskonali swoją działalność. Pionierzy ruchu oszczędnościowego w Gaci, za pośrednictwem prasy, poznają doświadczenia podobnych placówek istniejących w Wielkopolsce, które pracują w oparciu o własne statuty. Dużo dowiadują się o kasach zakładanych przez dr Franciszka Stefzczyka. Piszą więc do niego list z prośbą o pomoc w zorganizowaniu takiej placówki w

narzędzia rolnicze lub ziemię. Prezes jednak, kasjer oraz inni członkowie zarządu stwierdzają, że za dużo kasa będzie mieć z tym kłopotu, że lepiej pieniądze dać na procent do banku. Decyzja okazuje się fatalna w skutkach.

W 1924 roku następuje dewaluacja marki, co oznacza całkowity krach placówki. Kasa ma w tym okresie 963 członków. Wszystkie chińskie oszczędności, wynoszące 861 668 marek polskich tonięją w nowej walucie do... 49 groszy, a fundusz zasobowy do 8 groszy. Pracę trzeba zaczynać od nowa. Wielkie jednak jest zaufanie ludzi do kasy skoro po wprowadzeniu złotego członkowie dobrowolnie składają 720 złotych. Zysk we wspomnianym roku działalności wynosi zaledwie 90 groszy. Ale już w następnych latach praca rozwija się lepiej i kasa ponownie finansuje działalność gospodarstwa i oświatową prowadzoną przez ludowców. Wspiera strajki robotnicze, rozwija się ruch spółdzielczy, rozpoczyna pracę pod kierownictwem dr Ignacego Solarza Uniwersytet Ludowy. Tuż przed II wojną światową ka-

sa liczy 438 członków, a fundusz zasobowy wzrósł prawie do półtora miliona złotych. Udzielono 275 pożyczek na sumę ponad 55 tys. złotych. Rozpoczęto jeszcze w czynnie społecznym budowę domu spółdzielczego, który ukończono w 1940 roku. Z radością przeniesiono biuro z prywatnego domu do murowanego budynku. W czasie okupacji zarząd kasy ściśle współpracuje z ruchem oporu chłopskiego przeciwko hitlerowskiemu najazdowi.

Wyzwolenie otwiera nową kartę w pracy gackiej placówki, która swoim zasięgiem obejmuje wioski — Białoboki i Ostrów. Choć zmieniły się czasy oraz formy działalności, to jednak idea pozostała ta sama. Założone przed niemal 100 laty spółdzielnie usamodzielniały się i stały milionerami. Wyroby koszykarskie z Gaci, jak dawniej tak i obecnie budzą podziw na rynku krajowym i zagranicznym. Obroty Gminnej Spółdzielni wynoszą rocznie ponad 30 milionów złotych. Majątek kółka rolniczego przekracza 1 milion złotych. Uniwersytet Ludowy kształci nowe kadry oświatowe.

Idąc przez wieś podziwiamy jej zamieszki i dostatek. Odnajdujemy ślad reńskich, koron, marek i złotych zmienionych w okazale budynki mieszkalne i inwentarskie. Z każdym rokiem przybywa we wsi budynków murowanych. Poznaje ludzka mądrość oszczędzania i gospodarności. Jak kiedyś dziadkom, tak obecnie wnukom, a nawet już prawnukom kasa dobrze służy, gromadzi oszczędności i udziela pożyczek.

— Kasa SOP liczy ponad 700 członków — informuje kierownik Eugeniusz Stańko. Na przeszło 900 książeczek wkłady oszczędnościowe wynoszą ponad 3,5 mln złotych. Udzielamy wiele pożyczek na budownictwo, rozwój hodowli, zakup nawozów sztucznych, maszyn itp. Ludzie chętnie korzystają z usług naszej placówki.

Do biura wchodzi kolejny interesant. Józef Superson — sołtys z Gaci, bierze pożyczkę w wysokości 1 400 złotych na nawozy sztuczne. Bronisław, Jakub Hawro z Białoboków pobiera 5 tys. złotych na rozwój hodowli. Dziennie przejeżdża się przez kasę około 150 osób. Wkrótce interesanci przychodzą będa do nowego budynku kasy, wznoszonego systemem gospodarczym. Stanowi on trwały pomnik niemal 100-letniej historii wiejskiego ruchu oszczędności, który stał się coraz bardziej masowy. Dziadek Fołta przyswajał sobie nawyk oszczędzania z trudem. Teraz mówi w Gaci, że noworodki przychodzą na świat z krzykiem i... książeczką SOP. Ciekawie tylko na co przeznaczą — oczywiście, gdy dorosną — swoje oszczędności?

Na naszych ekranach

Witautas Żalakiawiczus

Andrzej Wajda podczas tegorocznego pobytu w Związku Radzieckim, mówiąc o nowo oglądanych tam filmach powiedział:

— Porwał mnie jeden film — „Nikt nie chciał umierać” Witautasa Żalakiawicza. Kilka lat temu sądziłem, że mój „Popiół i diament” nie będzie ze wszystkim zrozumiały w Związku Radzieckim, sytuacja wojny domowej stała się u nas historią, a nas tkwi ona w pamięci trzydziestolatek. Ale kiedy obejrzałem film Żalakiawicza zrozumiałem, że moje obawy były błędne; w historii naszych narodów jest znacznie więcej spraw wspólnych niż zazwyczaj sądzimy. Żalakiawiczowski udało się stworzyć film niezwykle prosty w formie, zrozumiały dla każdego widza, a jednocześnie jeden z najgłębszych, jaki znam”.

jednocześnie wiele nagród i wyróżnień (I nagroda za film, kreację aktorską oraz scenariusz i nagroda publiczności na Wszechzwiązkowym Festiwalu w Kijowie, „Wielki Bursztyn” — główna nagroda Festiwalu Republiki Nadbałtyckich, nagroda Komsomolu oraz nagroda za kreację Donatasa Banionisa na festiwalu w Karłowych Warach).

Krytyka radziecka często porównywała ten film z „Popiołem i diamentem” i nie bez powodu. Film Wajdy zaczyna się od serii pistoletów maszynowych, które skierowane są przeciwko sekretarzowi PPR, „Nikt nie chciał umierać” rozpoczyna się strzałem z węgla, który godzi w przewodniczącego rady wiejskiej Łukisa. Ale nie tylko początek, lecz także atmosfera i tematyka obu filmów jest podobna.



Cztery synowie zabitego Łukisa (Łukis — po litewsku nieszczęśliwiec), chcą pomścić śmierć ojca. Z prawej — w okienku — reżyser W. Żalakiawiczus.

Kim jest reżyser, którego dzieło daje Wajda, raczej oszczędny w słowach i pochwałach, tak wysoką ocenę?

Uważni widzowie kinowi zapamiętali być może jego trudne do wymówienia nazwisko. Pojawilo się ono już kilkakrotnie na naszych ekranach („Kronika jednego dnia”, II nowela w „Żyjących bohaterach”), ale choć krytycy zauważyli „interesującą indywidualność” ginie ono w powodzi innych, bardziej znanych i popularnych.

Witautas (odpowiednik naszego Witolda) Żalakiawiczus urodził się w 1930 roku na Litwie. W roku 1956 ukończył wydział reżyserski Wszechzwiązkowego Instytutu Kinetematografii (w pracowni Grzegorza Aleksandrowicza) i powrócił do pracy w Wilnie. Zrealizował dwie krótkometrażowe komedie „Topielec” i „Dopóki nie jest za późno”, a później filmy „Miasto złudzeń”, „Adam chce być człowiekiem” i wymienione wyżej: „Kronikę jednego dnia” oraz nowelę w „Żyjących bohaterach”. W 1963 roku realizuje według własnego scenariusza „Nikt nie chciał umierać” i filmem tym wchodzi do czołówki najlepszych reżyserów radzieckich, zdobywając

Traktują one o ludzkich postawach i losach w gorących powojennych czasach walk bratobójczych, o dramatach jednostek, dla których często już nie ma powrotu. Żalakiawiczus ukazuje te dramaty nie na czarno-białej płaszczyźnie. Jego bohaterowie mają ludzkie cechy bez względu na to, jaką grupę prezentują. Synowie starego Łukisa przybywający do wsi pomścić ojca, były „leśny człowiek” Wajkus, usiłujący wrócić do normalnego życia i zdający sobie sprawę z tego, że może to oznaczać dla niego śmierć, czy nawet herszt bandy Domowej — to postacie pełnokrwiste, żywe, obdarzone wszystkimi ludzkimi cechami. Popiełnia błędy, za które trzeba ciężko płacić, ale mają ku temu swoje powody, mają przyczynny taki czy innego wyboru.

Oto scena, w której jeden z synów zabitego Łukisa rozmawia z karczmarzem Juozapasem, nie poajeżrewając, że to on właśnie jest poszukiwanym przywódcą bandy.

— Ty chcesz się dogadać z Domową? — pyta Juozapas — Domową?

— Może być.

— A tobie to po co?

— Krwi mniej.

Herszt zamyśla się, zastanawia nad losem swoim i swoich ludzi. Hitlerowi nie udało się pokonać władzy radzieckiej, a cóż dopiero im, w lesie... Ale Łukisowi mówi:

— A może on chce, by o nim pieśni śpiewali?

— Smutne to będą pieśni.

— Smutne — mówi karczmarz i dodaje — a może człowiek po prostu nie widzi innego wyjścia...

Ktoś napisał w prasie, że Żalakiawiczus zrealizował western, tyle, że oparty o poważne, socjalne i psychologiczne problemy. Nie wydaje mi się to słusne, choć film „Nikt nie chciał umierać” rogrzywa się w szybkim tempie, akcja jest żywa i nie obywa się bez strzałów. Ale opowiada on o czasach, kiedy takie właśnie było życie, a strzały hucały gęściej niż na ekranie.

„Nikt nie chciał umierać” jest filmem o litewskiej wsi, i daje interesujący obraz tej wsi, jej ludzi, ich zwyczajów, charakterów. Słyszmy z ekranu litewskie pieśni, oglądamy tamtejszy pejzaż. Jest to zarazem tragiczny obraz o straszliwej cenie, jaką ludzie płacili za spokój, ład i powrót do normalnego życia.

Film Żalakiawicza zainauguruje tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego. Będzie to znakomita pozycja tych Dni i niejednokrotnie jeszcze zapewne będziemy wyszukiwać na kinowych plakatach nazwisko tego reżysera.

(w, sz.)

Zbigniew Wawszczak

„PRAWEM I LEWEM JANA ŁOZIŃSKIEGO”

W ważnym czytelniku już tytuł wzbudził wątpliwości. Przecież autor świetnej książki o życiu szlachty kresowej na Rusi Czerwonej, nosił co prawda takie samo nazwisko, ale już na imię było mu Władysław. Skąd więc ów Jan tytułowy? Tak, to nie jest pomyłka, mieszka obecnie we Lwowie ukraiński działacz i pisarz, Iwan Łoziński.

A więc rzecz będzie o dyrektorze Łozińskim, wypróbowanym znawcy i przyjacielu polskiej kultury. Swoje polonistyczne zainteresowania wyniósł Łoziński z ziemi pogranicza. Urodził się bowiem w Łaskach Murowanych koło Mościsk, na terenach o mieszanej ludności ukraińsko - polskiej, na obszarze wzajemnego przenikania kultury obydwu narodów. Nawet w samej nazwie miasteczka (oprócz zamczyska, związanego tradycją z niefortunną carycą Maryną Mniszcówną), znalazła wyraz ta dwoistość. Były to Łaski — czyli mniejsze Lachy.

Zainteresowania literackie Łoziń-

skiego zostały ugruntowane w latach 1939—41, kiedy to odbywał studia polonistyczne u prof. Kleina na uniwersytecie lwowskim. Tym zainteresowaniom pozostał wierny i dziś, jako kierownik lwowskiej biblioteki literatury w językach obcych, jedynego tego typu placówki na Ukrainie.

Łoziński jest autorem szeregu artykułów, rozpraw (o polsko-ukraińskich kontaktach) literackich ostatniej doby. Odnalazł on ostatnią, napisaną przed tragiczną śmiercią książkę Boya-Zeleńskiego o charakterze autobiograficznym. Przygotował na ten temat sporą rozprawę, która pod tytułem „Dru-ga młodość literacka i pedagogiczna Boya” ukazała się w zbiorowej publikacji, wydanej w Kijowie.

Ulubionym pisarzem polskim Łozińskiego jest Julian Tuwim. Jest to miłośnik cynna: pan Jan jest nie tylko doskonałym znawcą twórczości autora „Kwiatów polskich”, lecz również napisał o nim szereg rozpraw. Np. w bieżącym roku opu-

blikiwał esej o fraszkach Tuwima w ukazującym się w Pradze kwartalniku „Slavia”. W najbliższym czasie ukazuje się we Lwowie jego obszerne studium o twórczości polskiego pisarza. Jak przystało na zapalonego tuwimologa, Łoziński gromadził wszelkie książki Tuwima bądź też o Tuwimie, jakie ukazują się w Europie. Ma więc tłumaczenia węgierskie, włoskie itp.

Obecnie pan Jan przygotowuje artykuł o Stefanie Rudniańskim niezającym już autorze bardzo popularnej w Polsce i wielokrotnie znawianej „Technologii pracy umysłowej”. Rudniański przebywał długo we Lwowie, położył duże zasługi na polu zbliżenia polsko-ukraińskiego, m. in. tłumaczył utwory Iwana Franki.

Jan Łoziński stale czyta polską prasę i jest doskonale zorientowany w problematyce polskiego życia literackiego. Równie pilnie śledzi naszą produkcję wydawniczą: biblioteka, którą kieruje, stale gromadzi książki obcojęzyczne, wśród których

szczególną pozycję zajmują wydawnictwa polskie.

Placówka ta utrzymuje kontakty z niektórymi polskimi firmami wydawniczymi. Dyr. Łoziński nawiązał również bezpośrednie stosunki z Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Rzeszowie, skąd otrzymuje m. in. cenne publikacje regionalne.

Wspomniałem wyżej o szczególnej pozycji polskiej książki: składa się na nią największa ilość wypożyczeń w lwowskiej bibliotece literatury w językach obcych (na 135 tys. książek w roku ubiegłym — 85 tys. w języku polskim), jak i stosunkowo duży księgozbiór polski, który obejmuje około 40 proc. wszystkich książek.

W ubiegłym roku przebywał przez dłuższy czas na terenie Zachodniej Ukrainy Jerzy Ficowski. Zbierał na materiały do przygotowywanej przez siebie książki o znakomitym polskim pisarzu awangardowym, Brunonie Schulzu, zamordowanym przez gestapo w Droho-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Cecylia Błońska

Porozmawiajmy o PODRÓŻY

Szkoda, że dolina wiodąca do Białego, z perspektywą małych Górek, zniszczonej wojną miasteczka, trochę melancholijna, jak zazwyczaj polski krajobraz jesienią, swojska, bliska, zafetnie autentyczna, tak szybko okazuje się tylko „warstwa retrospektywna”, do której nieustannie powraca Stachura, główna postać „Podróży do krańca doliny”, najnowszej powieści Andrzeja Szczypiorskiego.

Nie tylko przez swa topografię ta dolina jest nam znana. Wielu z nas pamięta żywo sytuację, w której autor wywołał opowieść o większym chłopaku, nieco chlerlawym a mądrym, zawziętym w sobie, który na ukradzionym ojcu rowerze podąża do uboższego posterunku MO usytuowanego w dolinie, by zaciągnąć się do służby w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Historyczny moment kształtowania się władzy ludowej w księżce Szczypiorskiego znajduje odbicie niebanalne, a ten prolog anonsuje świetną prozę...

Małe miasteczko zagrożone klęską powodzi, mała społeczność bynajmniej niejednorodna w swych dążeniach, pragnieniach, potrzebach, trzymana pod groźbą przez bandę Bohuna, leśnego watałki. Mały posterunek z niewielką załogą, który chętnie włączyłby się najpierw do ochrony przed zalewem ludzkiego mienia, i tak już bardzo uszczuplonego przez wojnę, a dopiero potem przystąpił do rozprawy ze znacznie liczniejszą bandą. Prości, surowi, bogaci i sugestywnie zarysowani są ludzie z tego posterunku, którzy stąd, jak komendant Michałak, wystartują w Polskę z różnym powodzeniem. Michałak jest starym partyzantem, proletariuszem z krwi i kości, oddanym towarzyszem, lecz bynajmniej nie jest to strateg zdolny skutecznie przeciwdziałać bandyckim pułapkom leśnego wroga. Trochę pogardliwie koledy z posterunku traktują Wygibusa, chociaż jest zwinny i odważny; po latach wracać będzie do nich jego obraz — niechętno rozpiętego na ścianie posterunku, powieszzonego przez Bohuna, po walce, której przegrana była nieomal do przewidzenia.

Stachura, na którym autor skupił całą uwagę, tutaj przeżywa burzliwe miesiące jeszcze bez wielkich filozoficznych rozterek. Dopiero w kilka lat później „odetę za biurkiem, obwarowany korytarzami, poczekalniami, sekretariatami, posród telefonów, dokumentów, ciężkich mebli rządowych, spowity w popielate zasłony okienne, morelowe płaszczyny ścian, obicia ze skóry i łoczonego brokatu” — ciekawymi wspomnieniami doszukując się źródeł własnej klęski i tej, która wówczas zawisła nad Michałakiem, nad wieloma ludźmi. Już wtedy widmo okrutnego procesu, długich lat niezaspokojonej kary zaczęło nad Michałakiem, kiedy przyjął do pracy Fajkowskiego, zatając jego naganną przeszłość. Już wówczas gładki, inteligentny, wszystko wiedzący, daleko patrzący, kojarzący błyskawicznie rozmaite ułamki sytuacji w prawdę pozornie nieodpartą, śliczny Robert z powiatu podpisał wyrok na Michałaka: jego wykonanie w latach późniejszych będzie tylko nieuchronną konsekwencją owych fałszywych, przelotnych podejrzeń.

Stachurę chlerlawego chłopca ze wsi, lata te windują wysoko w społecznej hierarchii. Na takie wyżyny, że droga do krańca doliny, do tego miejsca,

gdzie ongiś zaczęła się jego kariera, będzie już wielką podróżą, trudnym poszukiwaniem moralnych racji dla wszystkiego, co dzieje się później.

Niełatwo odnajduje tam nawet najbliższą rodzinę, gdy wśród rozlicznych zajęć i funkcji znajduje czas, by z Warszawy spaść do schorowanej matki po to, aby wydrzeć ją z rytmu życia i pracy w starej zagrodzie enigmatyczną groźbą zblizającego się... kołchozu. Kobieta jest w najwyższym stopniu zdenerwowana, poruczył gospodarstwo to decyzja ponad jej siły, ale syn jest już człowiekiem z obcego świata. „Burza w niej szalała, a on gapił się spokojnie w sufit, daleki jak nigdy przedtem i nigdy potem, obcy przybysz, który nie potrafił już zrozumieć ani jednego gorzańskiego słowa”. Matka, obciążona jakąś bliżej nieokreśloną straszliwą chorobą, wejdzie potem w stoleczny żywot Stachury, jako jedyny człowiek bliski, mający świadczyc o tym, iż z wyczałone ludzkie uczucia nie stały mu się jeszcze całkiem obce.

O co walczy nieustannie Stachura, który przed 20 laty na ukradzionym ojcu rowerze wiechał na trakt rewolucyjnych przemian? Walczy o prymat swych moralnych racji. Chce, by we wszystkim co czyni, co podejmuje jego towarzysze, racje powszechnie sprobowane, pokrywały się z taktyką i praktyką działania. To wcale niełatwe dążenie i przed r. 1956, rokiem wielkich przemian — bardzo wyraźnie wyeksponowanym w powieści — nie znajduje on nadmiaru zrozumienia dla tak pojętej pryncypialności. Może dlatego nad całą opowieścią ciąży zaangażowane rezonerstwo głównej postaci.

Przeciwny w zasadzie metodom nieustannego przekonywania, taniego agitowania, ocenianego tzw. kursokonferencje jako mechanicznie powielone wątki cudzego myślenia, sam jest równocześnie w transie nieustannego wielkiego monologu, czasem „przełożonego” na dialog z ludźmi bliskimi, mającymi reprezentować te same dążenia, zasadnicze cele.

W tych burzliwych polemikach, najeżonych słowami bezwzględny, ostrymi jak lancet, Szczypiorski — wyrwany publicysta zdecydowanie goręcej nad Szczypiorskim-powieściopisarzem, autorem „Ojów epoki”, „Czasu przeszłego”, „Godziny zero”, „Ucieczki Abła”, „Luster”, „Za murami Sodomy”, czy też „Polowania na lwy”.

Partnerzy bowiem tej wymiany myśli, Witowski, Zgorzki, Toczyski, czy też kierowca Balcerzak, inżynier Dąbrowski, to tylko prezentacja rozmaitych postaw rozpatrywanych w chłodnych intelektualnych kategoriach, a nie pełni ludzie z zaletami, wadami, z jakimiś własnym życiem.

Ową emocjonalną pustkę, w której autor zawiesił czołową postać, czytelnik odczuwa jako dotkliwy brak. Ba, podobna pustka cichną ulicę, całą stolicę. Jeśli Stachura wędruje główną arterią, to tylko wówczas, gdy wysiada z urzędowego samochodu, by na chwilę podyskutować. Gdy rozmowa jest burzliwa, natura natychmiast stwarza dla niej odpowiedni sztafeta: niebna nabrzmiewa groźnymi chmurami, nad miastem przewalają się gniewne błyskawice lub też szaleje śnieżna zamięś.

W takim wyobcowaniu trudno oczywiście znaleźć bohaterowi odpowiedź

na nieustannie nurtujące go pytanie, na ile wielki trud milionów ludzi przeobraził już kraj, w jakim stopniu czołowe wytyczne partii, rządu akceptowane i przyjmowane są jako swoje przez naród.

A przecież są w powieści fragmenty świadczące o szerokim, epickim nieomal spojrzeniu autora. Choćby opis tego pociągu na zachód, wiozącego setki ludzi z całym dobytkiem, unoszących w sercach wizję swojej małej Półchówki, innej rodzinnej wioski, by z oddaniem budować swoją ojczyznę na nowych rubieżach.

Jest też w „Podróży do krańca doliny” wielkie bogactwo nagromadzonych obserwacji: kapitalne refleksje o przetasowanych życiorysach, o działaniu ozywczey prawdy, która w konsekwencji wielkiego przełomu przekreśliła mechaniczną wiarę w siłę samego życiorysu, tu potraktowane marginalnie, jakże intrygujące byłoby w opowieści o prawdziwych żyjących ludziach.

W swej głosie otwierającej księżce, Szczypiorski pisze o politycznych i moralnych konfliktach epoki, jako nader cennym materiale dla pisarza, stwierdzając „że to nie są sprawy proste, łatwe i jednoznaczne. Ale przecież prawda o ostatnim burzliwym dziesięcioleciu również nie jest ani prosta, ani łatwa, ani jednoznaczna. Wierzę przecież, że mimo gorczy, rozczarowań i moralnych upadków, jest to prawda pokrzepiająca i pełna optymizmu. Temu przekonaniu chciałem dać wyraz w książce”.

Innymi słowami, o takim samym wydziewku kończy się książka: Stachura „miał przecież wciąż nadzieję, wiarę, ulotną, gorzką — że z tej zawłości i rozpacz pierwszego dnia, powstanie jednak dzień drugi, o którym marzył od lat, od stulecia nawet”.

Jest to finał oratorsko kunsztowny i tak wyczelowany fonetycznie, że aż prosi się, by odczytywać go głośno; tak mało w nim ulotności, jakiejś bardziej intymnej treści. Chyba nie chciałoby to zbytby autorowi, gdyby go ktoś zapewniał, że powieść adresowana do młodzieży (sądząc po tym, że wydały ją „Iskry”), nie porwie jej i nie wciągnie...

Natomiast Szczypiorski — żarliwy zaangażowany komentator, odważny moralizator, którego każdego tygodnia słuchają z zainteresowaniem miliony radiosłuchaczy, może liczyć na to, że w reszcy rówieśników, którzy z nim razem wędrowali przez dolinę, z niej w zaraniu naszego 20-lecia wyszli, jego nowa pozycja książkowa wzbudzi żywy odzew.

Pewnie zechcą z nim porozmawiać bardziej poufnie o tej podróży, i tej wielkiej migracji z doliny. Może razem będą mieli pewne trudności w odszukaniu jej na mapie Polski r o k u 1966?



To jest program na tyle ważny, na tyle oryginalny tak bardzo długi i przy tym po tak długiej przerwie pojawiający się, że chyba warto pomówić o nim trochę szerzej, wyjawić swoje rozczarowania i pochwalić to, co w nim dobre, świeże. Myślę naturalnie o „Poznajmy się” Jerzego Gruzy, który, jak zarzucają mu zaradźni adwersarze podobno przeniół pomysły zycowem z amerykańskich shows, ale który daje w naszej telewizji, niestety, jedyną próbę zabawy, gdzie improwizacja i autentyczny kontakt z publicznością są eksponowane stale i działają na zasadzie spirytus movens bez mała dwugodzinnej rozrywki.

Wszyscy pamiętamy ów szok, jaki wywołał pierwszy program, gdzie na dobrą sprawę poza Kobiela, Fedorowiczem i duchem Gućia Holoubka, inni niewiele nam mieli do objawienia; pamiętamy inteligencję tekstów, przeurotność komentarza, jadowitość aluzji, autentyczny dokrętek filmowych oraz doskonałość koncepcyjną, która polegała przede wszystkim na idei przyswajającej żartowi, na jednolitości, na żelaznej dyscyplinie improwizowanego słowa czy gestu.

To była rozrywka o wiele bardziej masowa aniżeli wysmakowana Kabaret Starszych Panów, choć wcale nie mniej inteligentna od purnonsensowych wizji Przybory i Wasowskiego. Czulo się w niej ducha przekornej młodzieści i gdy jeszcze znano się kułisy powstawania dowcipów w zupełnie prywatnych sytuacjach, sytuacji z kolei budowanych na zasadzie skojarzeń właśnie przez trójkę twórców, z czego dwóch było równocześnie wykonawcami, gdy

słyszało się owe neologizmy w rodzaju śmiaćca, oglądało „szefopodobnych”, czy produkcje „tej Łazuki” — to dawało posmak maciopeńkiej ucztki, gdzieś z pogranicza STS-u, krakowskiej piwnicy i dobrze robionego „Przy sobocie po robocie” (co zdarzyło się temu programowi chyba nie więcej niż jeden raz).

I jakże żał nam gryzł duszę, kiedy zniknęli dwaj inspirowicze (te śmiaćca są jednak zaradźliwe!), kiedy Gruza niepięknie przerzucił się na piękną Helenę, równie niepięknie tlamazoną przez piękną Kalinę Jedrusik, kiedy Fedorowicz po radzie dla pani, by wytruła drani, na długie miesiące przerwał swój kontakt z telewizją, sporadycznie jakoś tam zapowiadając, naturalnie zapowiadając na nucie najwyższego dowcipu, kiedy Kobiela jakoś nie znalazł zastosowania dla inteligentno-smutnej fizys.

I znów są. Oczekiwało się tej soboty z nieklamana niecierpliwością. Są — i w pierwszej półgodzinie dwojga się i trójką po starymu, przekonując, że cecha zasadnicza „Poznajmy się”, to dynamizm, śmiech, odrobina nonszalancji, świetny blekaut. A po tej półgodzinie program zaczyna się rozlać; zaczyna być niesmaczny, nudny, sztywny, niekwalifikacja publiczności, odarty z paradoksu na rzecz „dowcipku” — zaczyna być zplekiem wykonawców tej klasy, co Alima Janowska (jakże nudna — w odwiecznym podglądaniu głupekowych gestów Mastny!), co Gromnicki, na pewno świetny, znakomity, ale ileż razy słyszany i w końcu działający na zasadzie własnego programu w programie ogólnym.

Jest piękna spikerka telewizji państwowej, jest ciekawy pomysł z francuzyczną, który ma być pamfletem na salony (a gdzież one są? — chciałoby się sparafrazować poetę) a staje się dla niewtajemniczonych nużącym grasejowaniem w nadmiarze, jest wreszcie zupełnie niesmaczny wywiad z Barbarą Kwiatkowską, która do takiego wywiadu nie tylko, że się nie nadaje, ale który ją obdziera z intelektu w sposób zdecydowanie jadowity, postępując się przy tym aranzerką tak znamienitą, jak Irena Dziedzic, która, prezentując niemniejszą urodę, robi wszystkim, by na zasadzie kontrastu osiągnąć szczyty zabójczej inteligencji. I po co?

Do parodii Kobieli nadawał się znakomicie Gućia Holoubek — co jak deus ex machina pojawiać się w niedgdyjszych programach; usmiechnięta mimo wszystkie imperytencje, skopotana gwiazdka — to już wybrzyk w stylu reklamy gnębienia przeciwnika, u nas dotąd nieznanego i dobrze chyba, że nieznanego.

Nie miałam powodu nigdy zachwycać się Kwiatkowską, bo zawsze jej aktorstwo wydawało mi się podejrzanie niedojrzałe; nie mam nawet cienia powodu uczestniczyć w zabawie odbywającej się kosztem jej żenująco niedowcipnych wyznań. Osobiście wolałabym Łepickiego czy Krafftównę w ciętej replice pod adresem Kobieli, czy nawet Gromnicką, tak znakomicie kiedyś w Tele-Echu parującą pani Dziedzic odpowiedź na temat wieku i maki-żaru...

Nolens volens zmuszona jednak byłam uczestniczyć w tej pseudozabawie i stwierdziłam, że coś źle się dzieje z programem, że nadmierna swoboda słowa Kobieli może być czasem przykra, że świetny aktor tym razem przeważał proporcje i miast nawzajem dopełniać się, przycmiał zdecydowanie Fedorowicza, który jest na pewno najdowcipniejszy, najpomysłowszym i najnowocześniejszym konferansjerem polskim. Co powiedziawszy z żarliwością adoratorki długoletniej tegoż, kończę zmuszona, bo niewesoło to zajęcie mówić źle o twórcach, bądź co bądź jednego programu, na którym zawsześmy się świetnie bawili.

KRYSZYNA



Tadeusz Konwicki: OSTATNI DZIEŃ LATA. W-wa 1966, Iskry, s. 243, cena zł 30.

Tomik scenariuszy filmowych Konwickiego: „Zimowy zmierzch”, „Zaduski”, „Salto”, „Matura” i scenariusz tytułowy. Na końcu książki — zdjęcia z filmów o tych tytułach.

Edmund Jankowski: ELIZA ORZE-SZKOWA. W-wa 1966, PIW, s. 666, cena zł 55.

Wznowienie obszernego i przystępnego opracowania biografii wielkiej pisarki epoki pozytywizmu. Bogata i ciekawa część ilustracyjna. Tom z serii „Ludzie żywi”.

Jan Białostocki: SZTUKA I MYŚL HUMANISTYCZNA. Studia z dzieł sztuki i myśli o sztuce. W-wa 1966, PIW, s. 211, cena zł 35.

Kolejna praca wybitnego historyka sztuki. Tematem rozważań autora jest nie tylko sztuka, lecz i dzieje myśli o sztuce. Bogaty materiał ilustracyjny.

Hogdan Wojdakowski: PROBA BEZ KOSTIUMU. W-wa 1966, PIW, s. 259, cena zł 15.

Szkice o teatrze z lat 1960—1964, drukowane wcześniej na łamach „Współczesności”. Głównym ich tematem są problemy inscenizacji. Autor wykorzystuje tu zarówno pewne przedstawienia teatralne, jak i książki o teatrze lub wystawy scenografii.

Henri Jomin: ZARYS SZTUKI WOJENNEJ. W-wa 1966, MON, s. 275, cena zł 29.

Praca wybitnego francuskiego historyka i teoretyka wojskowego czasów napoleońskich, wnikliwie interpretującego koncepcje strategiczne Bonapartego. Tom niniejszy jest zbiorem ujętych w artykuły i punkty prawideł z dziedziny strategii i sztuki operacyjnej.

Bernard Gorsky: MOANA. W-wa 1966, Iskry, s. 515, cena zł 35.

Pozycja z serii „Naokoło świata”. Barwne przygody grupy pietwonurków, którzy na pokładzie jachtu „Moana” odbywają podróż dookoła świata. O morzach tropików, o koralowych puszczach, o emocjonujących spotkaniach z mieszkańcami głębin morskich.

Stefan Jeżewski: CZŁOWIEK BEZ TWARZY. W-wa 1966, MON, s. 140, cena zł 10.

W serii „Labirynt” nowa powieść, której treścią jest praca milicji i organów bezpieczeństwa nad zlikwidowaniem

Owoc żmudnych badań

W Przemysłu w bieżącym roku organizowano dwukrotnie sesje popularno-naukowe. Pierwsza (czerwiec br.) była poświęcona ochronie zabytków przyrody i architektury oraz walorom turystycznym regionu, druga (21 - 22 października br.) — problemom kulturalnym. Odbyły się one z inicjatywą towarzyszów naukowych i kulturalnych.

W sesji: „Kultura Przemysła i Ziemi przemyskiej na przestrzeni Tysiąclecia” uczestniczyli miejscowi naukowcy i działacze, a także goście z Krakowa, Lublina, Wrocławia i kilku miast naszego województwa. Wygłoszono 10 referatów: doc. dr Franciszek Persowski — Rozwój gospodarczy ziemi przemyskiej, dr Aleksy Gilewicz — Wybitni uczeni ziemi przemyskiej, doc. dr Jerzy Starnawski (Lublin) — Najdawniejsi pisarze ziemi przemyskiej w świetle najstarszego historyka literatury polskiej, dr inż. arch. Józef Frazik (Kraków) — Rozwój twórczości artystycznej w ziemi przemyskiej, dr Józef Szczepanik (Wrocław) — Drukarstwo przemyskie w kulturze polskiego Oświecenia, mgr Zygmunt Felczyński — Ruch kulturalny i naukowy Przemysła w XIX i XX wieku, Ryszard Stączek — Rozwój kulturalny miasta i powiatu w Polsce Ludowej, mgr Kasper Świerżowski (Kraków) — Rozmyślanie przemyskie jako apokryf w XV wieku, dr Stanisław Grzeszczuk (Kraków) — Jan z Kijan — indywidualność poetycka, prof. dr Mieczysław Piszczkowski (Kraków) — Ignacy Krasicki jako pisarz ziemi przemyskiej.

Autorzy starali się pogodzić naukowy charakter swych referatów z popularzatorskimi założeniami sesji. Wnieśli oni wiele nowego, cennego materiału poznawczego, który nigdzie dotychczas nie był publikowany, a stanowi owoc ich żmudnych badań. Np. wiele nieznanych szerokiemu ogółowi sylwelek uczonych rodem z ziemi przemyskiej pokazał dr A. Gilewicz. Ciekawie również naświetlił rolę XV wiecznej szkoły katedralnej, która przez pewien czas była filią krakowskiego UJ.

Żywe komentarze wywołał wykład prof. dr Mieczysława Piszczkowskiego, na temat powiązań I. Krasickiego z ziemią przemyską i związków językowych pisarza z regionem.

Sesja była dużym przeżyciem dla ludzi rozmiłowanych w Przemysłu, w jego historii i kulturze. Jednocześnie miała znaczenie naukowe.

Wszystkie referaty zostaną opublikowane w rocznym sprawozdaniu Rady Towarzystw Naukowych i Kulturalnych. Tak więc praca autorów, ich naukowe dociekania, zostaną utrwalone.

Inicjatorom i organizatorom sesji: Muzeum Ziemi Przemyskiej, Radzie Towarzystw Naukowych i Kulturalnych, Towarzystwu Przyjaciół Nauk, Polskiemu Towarzystwu Historycznemu, Towarzystwu Literackiemu im. A. Mickiewicza, Towarzystwu im. M. Konopnickiej, Wydziałowi Kultury Przyjaciół PRN należą się słowa uznania. Sesja stanowiła mocny akcent obchodów jubileuszowego roku Tysiąclecia Państwa Polskiego. **Zb. Ziembowski**



SNOBIZM ALE JAKI?

Wiele się ostatnio mówiło i pisało, zwłaszcza w naszych kolorowych magazynach o popularnym konferansjerze wielkich imprez rozrywkowych. Jego sposób bycia na estradzie różni się prawie narodowa dyskusja, a później wyonit się problem „Iksiński jako taki”.

Jak wynikałoby również z wielu enuncjacji w prasie, w radiu i telewizji wszyscy z zapartym tchem śledziliśmy występy pagartowskiego zespołu w paryskiej Olimpii. Zapewniano nas, że odnieśliśmy rewelacyjny sukces i radości końca nie było, że tacy jesteśmy dzielni. Niektórzy krytycy i publicyści z zapałem biją w bębny słownej sławy dla pewnych piosenkarzy czy początkujących aktorów, każą nam się żywo przejmować ich działalnością i sukcesami. Dzięki ich zrecznosci powstaje atmosfera, w której długo może egzystować mierzota o dużym tupecie.

Nieoceniony „Przekrój”, niezwykle zasłużony w utrwalaniu pewnego typu gustów i wytworowaniu pewnego klimatu, drukuje ostatnio prywatne listy dziewcząt do ekstrawaganckiego grafika i poety, i także listy tegoż grafika z Rzymu do wielu Baś, Ewek, Krystyn itp. w kraju. W tych listach nasz twórca donosi swym przyjaciółkom o tym, jaką to ważną nagrodę otrzymał i jak wielkie ma ona znaczenie w świecie artystycznym oraz jakie wrażenie wywiera twórca z Krakowa na Rzymie. W tymże „Przekroju” dziennikarka donosi skromnie, iż słynna tancerka angielska Margot Fonteyn uczyniła go tańczyć twista. Tamże drukuje się koszmarna literatura z przyrównaniem oka (że to niby my wiemy, że to szmira, ale jaka modna i oryginalna).

W ogóle odnosi się wrażenie, że wszyscy ludzie, których nazwiska pojawiają się w tygodniku, są na ty z całym zespołem redakcyjnym i należą do klanu wtajemniczonych.

(Ciąg dalszy ze str. 4)

byczu. Nieocenionej pomocy udzielił Ficowskiemu w poszukiwaniach właśnie dyrektor Jan Łoziński, który także interesuje się twórczością Schulza.

Poszukiwania dały pewne rezultaty, dotarło do osób, które znały Schulza, wyjaśniono sporo wątpliwości. Ale nadal wiele jest niewiadomych. Dowiedziano się na przykład, że Schultz przed śmiercią miał oświadczyć, że listy swoje i rekopisy ukrył u kogoś ze znajomych. Być może, były tam nowe książki autora „Sanatorium pod klepsydrą” i odnalezienie ich stałoby się sensacją literacką. Niestety, nadal nie wiadomo, czy rekopisy Schulza ocalały, a jeżeli tak — to gdzie się znajdują.

Jak wywnioskowałem z wypowiedzi pana Jana, jego przyjaciel, Jerzy Ficowski, będzie miał w nim rywala. Łoziński przygotowuje również książkę o tragicznym pisarzu z Drohobycza. Ciekawe, w jakiej mierze będą zgodni w swoich wnioskach, poglądach na życie i twórczość autora „Sklepow cynamonowych”.

Biblioteka dyr. Łozińskiego, której głównym zadaniem jest pomoc w doskonaleniu znajomości języków obcych, zorganizuje także rozmaite imprezy literackie i wystawy o tematyce polskiej. W ostatnich miesiącach przygotowano wystawy twórczości Orzeszkowej, Żeromskiego i Sienkiewicza. Nasz pobyt we Lwowie wypadł akurat w okresie święta narodowego Odrodzonej Polski, 22 Lipca. We Lwowie można było wtedy oglądać polskie filmy, radio nadało szereg audycji o naszym kraju (m. in. audycje, przygotowaną w ramach współpracy przez rozgłośnię rzeszowską), dwa koncerty dała Estrada z Rzeszowa (wystawiając współczesny program pt. „Piszę do ciebie”, odbyła się uroczysta akademicka z bogatą częścią artystyczną. Biblioteka zaś obcych literatur wraz ze Związkiem Pisarzy Ukraińskich wystąpiła w wieczorem poezji polskiej w przekładach lwowskich pisarzy. Słowo wstępne wygłosił Jan Łoziński, jak się wydaje najlepszy we Lwowie znawca naszej współczesnej literatury.

W radiu lwowskim nadano pogadankę o twórczości Stanisława Różewicza. Jej autorem był również Łoziński.

Mówiłem dotychczas o „prawem” Jana Łozińskiego. Tytuł sugerował, że będzie również o „lewem”. Ale był to jedynie formalny zabieg. Nie mogłem przecież pożyczyc tylko połowy tytułu z głośnych szkiców historyczno-obyczajowych. Mam nadzieję, że czytelnicy wybaczą mi te mistyfikacje.

Te atmosferę amikoszereii znakomicie podtrzymuje w Polsce wiele ludzi spoza „Przekroju”. Ilek intymności zawierają rozmowy i wywiady znanej dziennikarki telewizyjnej, jak dzielnie włączają się w ten snobistyczny chórek „Kulisy”, ile zasług w tej dziedzinie ma radiowa rewia piosenek czy niektóre programy telewizyjne.

Przeciętny, niewtajemniczony czytelnik, słuchacz czy widz może dojść do przekonania, że ton polskiej twórczości artystycznej, zwłaszcza w dziedzinie rozrywki, nadaje grupa przyjaciół ze szkolnej ławy, że ma ona monopol na lansowanie stylu, mody i urabianie gustów w tym zakresie, co zresztą może nie jest tak bardzo nieprawdopodobne. Ostatnio oglądaliśmy powrót na łono tej wielkiej rodziny córki marnotrawnej z zagranicy. Aktorka filmowa, wylansowana kiedyś na wielką gwiazdę przy pomocy przyjaciół, porzuciła ich, szukając kariery artystycznej na Zachodzie. Obecnie przybyła w gościnę do kraju na dłuższy okres, gdyż coś tam za granicą nie wyszło.

Przyjaciele nie zawiedli. Przywitano ją zdjęciami na okładkach „Filmu” i „Ekranu”, obszernymi informacjami o jej życiu rodzinnym i artystycznym, nawet wspomniano, że o miejsce jej urodzenia toczą boje dwa województwa: warszawskie i bydgoskie („Panorama Północy”). Przeprowadzono z nią bliskotliwy wywiad w telewizyjnym programie „Poznajmy się”, w którym ze wzruszeniem słuchaliśmy, iż jest turystką dewizowym, że wykopała w rodzinnej wsi koszyk kartofli, i że jej 2-letnia córka mówi po polsku brzydkie słowa. Oczywiście zapewniono jej gościnny występ w nowym polskim filmie.

Cały zresztą ten program, w którym oglądaliśmy gwiazdę, był majstersztykiem osobliwego snobizmu i krygowania się na poziomie zupełnie infantylnym. Nie pomogła straszliwa francuszczyzna, którą chętno snobów ośmieszyć, skoro wszystko inne stwarzało im znakomitą pożywkę.

Nie warto by o tym wszystkim pisać, gdyby te zjawiska egzystowały na marginesie naszego życia kulturalnego. Ale tak nie jest. Opinie ambicje, gusty i sympatie, grupki zaprzyjaźnionych ludzi coraz śmielej narzuca się całemu społeczeństwu za pomocą środków masowego oddziaływania. Ośmielam się sądzić, że przeciętny odbiorcy nie interesuje tak bardzo osoba znanego konferansjera, gwiazdki filmowej, ekscentrycznego plastyka, że może on nie gustować w smaczkach, które lansuje „Przekrój”, że wreszcie nie jest tak bardzo spragniony wiadomości, kto się z kim przyjaźni w środowisku potentatów przemysłu rozrywkowego, jakie są kulisy festiwalu piosenek itd., by atakować go ze wszystkich stron tą kroniką życia towarzyskiego.

Snobizm może być siłą twórczą w kulturze, ale czy na pewno o taki snobizm chodzi? I to w okresie kultury masowej? Czy nie stać nas na bardziej wartościowe wzorce? Czy nie lepiej wytwarzać snobistyczną atmosferę wokół dobrego malarstwa, wybitnej literatury, znakomitej polskiej muzyki?

Kiedys byliśmy wszyscy bardzo pryncypialni w sprawach sztuki, kultury i obyczajów. Dziś czasy się zmieniły. Wszyscy wszystko chcą traktować z humorkiem, lekko, nieobowiązuje, wszyscy chcemy być dowcipni i zabawni. Dziś pod terrorem atmosfery wytwarzanej przez naszych Europejczyków, wstyd się przyznać do poważnych zainteresowań kulturalnych czy naukowych, bo okrzyczą nudziarzem. Przydałoby się jednak trochę więcej tolerancji dla „nietypowych”.
JOTGIEL



MGR MARIAN SZABATOWSKI — prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubaczowskiej RYS. J. SIENKIEWICZ

Teatry poezji na tarnobrzeszkiej scenie

W ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych odbył się w ubiegłą niedzielę w Tarnobrzegu Wojewódzki Koncert Teatrów Poezji. Przed południem wystąpił Teatr Poezji Klubu Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie z montażem poetyckim „Przenikania” oraz Teatr Poezji Klubu ZZZ w Przemyślu z inscenizacją wierszy i piosenek, zatytułowana „Zołnierz droga maszerował”. Po południu wystąpiły: Teatr Słowa „Bademus” — Międzyzakładowego Klubu Gospodarki Komunalnej MPWiK w Rzeszowie, który przedstawił poezję afrykańską w programie zatytułowanym „Patrikiem słońcu w twarz” oraz Teatr Słowa „Meluzyna” Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie z utworem M. Grześczaka „Buty generala”.

Podczas koncertu, który stanowił zarazem eliminację wojewódzkie teatrów żywego słowa, jury dokonało oceny zespołów. Do udziału w Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Poezji zakwalifikowano zespoły Meluzyna, „Bademus” i Teatr Poezji Klubu Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie.

Należy podkreślić, że dzięki inicjatywie Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych tarnobrzeszka publiczność już po raz drugi mogła oglądać występy artystyczne na dobrym poziomie. Poprzednio występowały przed nią zespoły estradowe placówek kulturalnych Związku Zawodowego Chemików. (z. H.)

Anna Karenina w plenerze

Dziwnie wygląda obok podmoskiewskiej szosy pasiasta budka strażnicza z szeszętego wieku — pisze sprawozdawca „Literaturnej Gazety” R. Pospiełow. To właśnie tu nakręcano jest przez reż. Aleksandra Zarchi film „Anna Karenina” według Tołstoja.

Pierwsze spotkanie z filmową Anną Kareniną zrobiło na mnie wielkie wrażenie — pisze Pospiełow. — Wybierając się tu miałem zamiar zadać kilka pytań Samojłowej. Nie uczyniłem tego jednak:

wydawało mi się jakoś dziwne przeprowadzenie wywiadu z Anną Kareniną...

Asystent reżysera spojrział na zegarek: proszę o deszcz! Filmowany będzie epizod przyjazdu Wronskiego do willi Kareninych w przededniu wyścigów konnych. Na Wasilija Lanowaja, który gra rolę Wronskiego, narzucają szary płaszcz i... polewają wodą. Słychać szum pracującej kamery. Twarz Wronskiego wyraża zachwyt — przed nim Anna Karenina.



ALBOSMY TO CACY, CACY... NOCNA ZMIANA

Jaki to naród dziś okropnie honorowy, o byle co się obraża. To, że wylali na zbity leń, pół biedy, ale dla czego zwyzwali od obiboków. No, proszę, ja obibok. — Obibok, bo dałem się nieopatrznie uświadomić, a wszystko przez ten mój socjalistyczny stosunek do pracy. Dwa miesiące temu wpadł na oddział kierownik Kolanko i dalej nas mobilizować. Nie powiem, podejście swoje miał, rękę każdemu podał, po czym, jak przystało na starego wiarusa, krótko zagał: — Towarzysze, na nocnej zmianie waszego oddziału przebiega pierwsza linia walki... Dziesięciu ludzi musi wzmocnić w tym kwartale zagrożony odcinek. Popatrzył po wszystkich, ale większość udawała, że jest zajęta pracą, tylko ja z uznaniem wlepiłem te swoje gupie ślipia i patrzę na pana kierownika. — No, co Pietruszka — powiada kierownik — jesteście świadomi! — Jestem! — To pójdziecie na noc. — Ale panie kierowniku, w nocy bez baby markotno i spać mi się chce. — Pietruszka, nie rozumiecie, pierwsza linia... A może wy piasek w rękawach macie? — A po co, nie bardzo kapuję? — No, czy wam się ręce zginają?

— Zginają! — To dobrze, zajdziecie jutro do majstra Dziury. Jako jednostka zdyscyplinowana, z właściwym stosunkiem do pracy, uświadomiony przez kierownika zgłosiłem się do majstra. Z początku było nie do wytrzymania, nudno jak cholera, a po jedenastej pyszczyko darło mi się bez przerwy. Sytuację uratował Antos. — Wiecie co chłopaki — mówi — praca zmechanizowana okrutnie człowieka morzy. Trzeba się trochę rozzerwać. Zagramy w ferbelka. Od tego czasu co nockę grywaliśmy z różnym szczęściem i grosza się trochę zarobiło i przyjemności było co niemiara. Okropnie mnie zeźliło, gdy trzy dni temu ktoś stanął za mną i mówił: — Nie trzeba wam piątego? Mimo że byłem zdenerwowany, bo lobuz mnie „zmyślił wybił”, grzecznie odpowiadam: — Nie widziś cymbale, że gramy w swojej pace! I co powiecie. Obrazili się. Swoją ścieżką, gdybym przypuszczał, że to dyrektor zakładu po nocach spać nie może, to bym nie odmówił. Nasypali piachu, zagralibyśmy ferbelka w piątkę. A tak obraziłem dyrektora i wylali.

Zdarzenia tygodnia

W auli Państwowej Szkoły Muzycznej przy ul. Chopina w Rzeszowie, odbył się recital fortepianowy Krystyny Mathes-Domaszowskiej, która wykonała m. in. utwory J. S. Bacha, R. Schumanna, Fr. Liszta i Fr. Chopina.

Liczne zgromadzeni rzeszowscy melomani oraz uczniowie szkół muzycznych gorąco oklaskiwali wykonawczynię. Dochód z imprezy przeznaczony został na Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów.

27 bm. w gorlickim kinie „Wiarus” odbyła się prapremiera filmu „Cierpkie głozi”, nakręconego w Słarach. Jest to dramat obyczajowy, wyreżyserowany przez Janusza Weycherta. Role główne kreują Barbara Krafftówna i Ryszard Filipiński.

24 października w sali Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie odbył się recital piosenkowski i recytatorski Marty Stebnickiej, znanej krakowskiej aktorki i reżysera Teatru Starego. Na imprezę, która nosiła tytuł „Tabakiera króla jęgomoci”, złożyły się ballady, piosenki liryczne i frywolne. Tę pełną uroku imprezę zorganizowało Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych.

W dniach 25 i 26 bm. w Stalowej Woli w Zakładowym Domu Kultury Hut „Stalowa Wola” odbyło się seminarium biblioteczny bibliotek powszechnych i związkowych, zorganizowane przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną i WKZZ w Rzeszowie.

Program szkolenia obejmował m. in. spotkanie z delegatem na Kongres Kultury Polskiej, sprawy związane z 30 rocznicą śmierci H. Sienkiewicza oraz wykład na temat psychologii dojrzewania i osobowości młodzieży, problemy czytelnictwa młodzieży oraz sprawy konkursów czytelnictwa. Uczestnicy zjedźli również Zakładowy Ośrodek Informacji Technicznej i Ekonomicznej.

Przez trzy dni (24 do 26 bm.) przebywała w woj. rzeszowskim autorka książek dla młodzieży, Wanda Zólkiewska. Odbyła ona 7 spotkań z młodzieżą Leska, Ustrzyk Dolnych, Sanoka, Przeworska i Rzeszowa.

25 bm. odbyło się posiedzenie Komisji Kultury, Sportu i Turystyki WRN, na którym delegaci na Kongres Kultury Polskiej złożyli relacje z jego przebiegu. Omówiono również wnioski i uchwały Kongresu.

W województwie rzeszowskim goszcza Alibabki i Blackouci, którzy pod firmą białostockiej Estrady mieszkańcom Jarosławia, Debicy, Sanoka, Jasła, Sarynki, Mięca zaprezentowali rewii piosenki i big-beatu. Występ w Rzeszowie 30 bm.

W Powiatowym Domu Kultury w Lubaczowie czynna była wystawa pt. „Rzeszowskie w zaraniu dziejów”. Ekspozycja ta zorganizowana przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie czynna była już w Ulanowie, Strzyżowie i Rudniku.